KSIĄŻNICA
NAUKOWA I ARTYSTYCZNA

TADEUSZ SZYMBERSKI

ATESSA

SCEN CZTERY

ATESSA

ATESSA

SCEN CZTERY

NAPISAŁ TADEUSZ SZYMBERSKI

Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie
pod zarządem L. K. Górskiego. ❧❧❧❧❧❧ 1910.

Skład główny: Księgarnia G. Gebethnera i Sp. w Krakowie.

W słonecznym sadzie krwawy topór ścina
[kwitnące jabłonie,
o przecudowne, przenajświętsze Życie bądź
[błogosławione.

SCENA I.

Szeroka droga, na jednym jej końcu widać zabudowania świątyni za wysokim murem, w którym wielka spiżowa brama zamknięta. Po obu stronach drogi tłumy pątników. Gdzieniegdzie ludzie klęczący lub leżący krzyżem, z wyciągniętemi ramionami.

I. Kobieta.

O drogo, drogo.

II. Kobieta.

Nie mów takim głosem.

I. Kobieta.

Jakim?

II. Kobieta.

Szept twój krwawi ciszę; nie zniosę.

I. Kobieta.

Jakże to przeraża i nęci.

II. Kobieta.

Tak, to dziwnie nęci, kusi i ciągnie. Kto tu przyjdzie, nigdy nie może być pewnym, że wróci do domu.

I. Kobieta.

Czy byłaś tu już kiedy?

II. Kobieta.

Przychodzę po raz drugi.

I. Kobieta.

Powiedz, jęk miażdżonych przez koła musi na wieki wypełniać uszy. Stęk rozdzieranych wnętrzności, w którym ginie wszelaki głos inny. O jęczące uciszenie.

II. Kobieta.

Śród śpiewów i okrzyków nie słychać jęków.

I. Kobieta.

Zapach krwi.

II. Kobieta.

Głuszą kadzidła zapach krwi.

I. Kobieta.

Wypłynięte wnętrzności i rozpryśnięte mózgi.

II. Kobieta.

Tak, to bardziej upaja niż opium. Czy przyszłaś ofiarować się bogini?

I. Kobieta.

Jeszcze nie wiem.

II. Kobieta.

Tak, tego nigdy nie można wiedzieć.

I. Kobieta.

Powiedz, czy koła wozu są bardzo ciężkie?

II. Kobieta.

Miażdżą na miejscu.

I. Kobieta.

Czy są cięższe niż nogi ciągnących słoni?

II. Kobieta.

Są bardzo ciężkie.

I. Kobieta.

Czy to prawda, że słonie są białe?

II. Kobieta.

Białe, bez skazy.

I. Kobieta.

Ale nogi ich muszą być potem purpurowe?

II. Kobieta.

Nie, są tylko zbryzgane krwią.

Chóry.

Przybywaj matko szału;
Żądzy palącej wcielenie
zwół ducha uciśnienie;
przybywaj ogniem trawiąca,
przybywaj wyzwalająca.
Nieśmiertelna, co spalasz niebiosa
i ziemię w ogniu wiecznym twego łona,
nieogarniona,
która jako powiędłe trawy czynisz puszcze,
a jako węgiel serca ludzkie,
mękę dusz, w martwe popioły zamordowaną,
na gwiazd rzucasz czoła.
Poskromicielko męki żywota
przez ogień żywota.
Jako piorunów nawałnice,
stopy twe na ginących światach,
jak płomień dech twój wieczysty.
W pustce, w męce, w udręczeniu wszelakim,
na gruzowisku bóżnic zmarłych bogów,
gwoźdźmi twoimi na krzyż była wbita,

woła cię dusza;
ciebie, co żądzą zażegasz
twory ku sobie,
w płodzącym szale je pędzisz
przez świata przepaść ciemną, pustą, głuchą
i na tym tortur zrębie wznosisz schody,
po których idziesz obojętna, krwawa,
w koszuli ogni pożarnych
błąkająca się po pustkowiu.
Przez cię to rodzą słońca nowe światy,
przekleństwo na nie,
niechaj zagasną,
jako i codzień gasną.
Przez ciebie drzewo się wszelkie poczyna,
niechaj uschnie na wieki,
jako i codzień usycha;
zwierz się rozmnaża,
niechaj wyginie,
jako i codzień ginie.
Twoja to sprawa zbrodnicza,
że człowiek daje drugiemu początek,
niechaj go nicość pochłonie,
jako i codzień pochłania.
O Pani wiekuista,
w żagiewnem twoim wejrzeniu,
w nieubłaganej źrenicy wieczności,
w jedno się miesza proch glisty i człeka,
w tę wyjącą glinę,
na której ślady stóp swych tajemnicze

znaczysz, zbrodniarko pątnicza.
Mścicielko wieczna win każdego bytu,
wszelaki żywot za grzech niezmazalny,
za winę żądzy karząca,
karą narodzin i śmierci,
zwiewnych stóp swoich śladem
na bezkresowych odmętach wieczności,
ciebie wołamy bezpłodna,
iż wszystko przez cię się rodzi
umęczonych weźmij w żyły swoje.
Oto się żądzy pierś nasza pozbywa
na wieki wieków,
by się zlała dusza
z Tobą światów chuci gorejącą,
która niczego nie żądasz.
Spłoniemy w tobie, jak kadzielnic dymy
i jako dech twych warg
stanie się ogień wnętrzności człowieczych
i zbędzie klątwy skarg.
Na twych ołtarzach ogień gorejący,
klątwą naszego żywota,
rozpłomienimy w chuć wszystko niszczącą
na wieki wieków.
Amen, amen, amen.

Mężczyzna.

Pali się słońce,
włożyło kwiaty szkarłatne i kwiaty czarne
i zatacza się pijane po niebie. [na głowę

Dziewczyna.

Drżą ci ramiona.

Mężczyzna.

Palą jego usta.
Połóż mi rękę na czoło — i drugą i drugą.
Na wiekuistem pustkowiu
skrwawiony komar brzęczy; —
cicho, cicho, cicho!
Na uschłem, zwiędłem czole
wsparł purpurowe, drżące nóg badyle,
cienką, rozżarzoną ssawką
przebija ciemię i wysysa mózg.
O płonący upiorze dni mych,
który zostawiasz ciemność nocy po sobie,
o noce moje.

Dziewczyna.

Odziałam głowę w kwiaty,
nad jasną, górską wodą tojady rosły.

Mężczyzna.

Pachną twe czarne włosy
i twoje piersi dziewczęce.

Dziewczyna.

Jak na mych piersiach drżą
twe chude, zwiędłe ręce.

Mężczyzna.

Jak twoje piersi kwitną.

Dziewczyna.

Skowyczy krzyk twych palców.

Mężczyzna.

Włosy...

Dziewczyna.

Opowiadają twe palce mym włosom
o szlochu nieznanych nocy.
Jestem jak rozkwitnięty pąk,
jak z łąk
daleki i pachnący wiatr.

Mężczyzna.

Dziewczynko.

Dziewczyna.

Rozkwitnę w ciemnych jaskiniach twoich.
Daj, zajrzę w twoje oczy.

Mężczyzna.

Dziecko.

Dziewczyna.

Jak się mroczy
ich cień
we wiśniowych sadach mego śmiechu.

Mężczyzna.

Pachną twe piersi,
pachną jak wiatry górskie, dalekie,
kiedy lecą spóźnioną jesienią,
kiedy się z dali przyżenią,
tułacze.

Dziewczyna.

Nie patrz tak na mnie,
z lochów twych oczu
wykrada się zwolna płacz, —
nie patrz;
okrwawionemi nogami dziecka
błąka się po skalistej wardze.
Uśmiechnij się.
Nie, nie, nie uśmiechaj się;
śmiech obłędnych przerażeń,
ten sam, co z przepaści tak kusi, kusi.
Ręce z włosów wyjm,
oddech twój dusi,
puść kosy.

Mężczyzna.

Ej ciekawa, ciekawa,
pocoś odeszła twoich kóz na halach.
Wróć się tam, wróć dziewczynko,
uciekaj stąd siostrzyczko.

Dziewczyna.

Już zapóźno.

Mężczyzna.

Zapóźno?

Dziewczyna.

W górach umarła bajka.

Mężczyzna.

Bajka?

Dziewczyna.

Bajka gór,
już się nie zrodzi, jak co wieczór;
przy miedzianem ognisku
już się nie zrodzi.
Była jak wiatr, —
niewiadomo skąd leci,
ani dokąd odlata, —
skrzydlata,
odeszła,
umarła.

Mężczyzna.

Może za blisko zajrzałaś w jej oczy,
może od tego umarła.

Dziewczyna.

Tego nigdy nikt nie zgadnie.
Przyszłam jak co wieczora pokorna i ufna
po słowo, które się s t a j e

i jak co wieczora mówił gędziarz,
— a słowa niema.

Mężczyzna.

Umarło?

Dziewczyna.

O gdyby zmarło,
pochowałabym trupa we wieczystej trumnie
i trwała nad nią grobowi powierna.
Och ty nie rozumiesz całej bezdeni nieszczęścia
— Słowa niema,
a nad pustą trumną nie można skamienieć
[żałobą.

Mężczyzna.

(Powiernie). Nie, nie można.

Dziewczyna.

Wtedy uciekłam z gór.

Mężczyzna.

Szukać wydarzenia.
a może tylko przygody?

Dziewczyna.

Szukać ciebie.

Mężczyzna.

Mnie?

Dziewczyna.

Czy wiesz jak krzyczą wiatry na gościńcach,
po których się wlokłam;
tęsknota, gdy na rozstajach wygniłą twarz
odsłania, widziałeś?
Na śladach twojej drogi krzepnie krew
poranionych moich stóp.
Wlókł mnie żelazny łańcuch twego śmiechu
przez nieznane pustynie i dalekie morza.
Błogosławiony bądź skrzesicielu zmarłych.
W twoim to śmiechu ożyła moja Bajka.

Mężczyzna.

O czem mówisz?

Dziewczyna.

Cichymi krokami złodziejki,
co chce ukraść nieznany skarb,
skradałam się pod twój namiot,
Śród niemej ciszy nocnej niosły mię bezechowe
idącą we wzgardzie Drogi, [kroki
we wzgardzie Domu,
we wzgardzie Wesela,
we wzgardzie Smutku,
we wzgardzie Spoczynku,
we wzgardzie Mozołu.
Pamiętasz w nocy krzyk obłąkanego
trwogą dziecka?

Pamiętasz ten nieprzytomny strach
owiniętego około twych kolan?

Mężczyzna.

Czy pamiętam.

Dziewczyna.

Wtedy to pochyliłeś się nad niem i roześmiałeś.

Mężczyzna.

(Głucho). I roześmiałem.

Dziewczyna.

Idę odtąd za tobą.

Mężczyzna.

Czy wiesz gdzie?

Dziewczyna.

(Z radością). Nigdy nie zgadnę.
Wiedziesz mię kędyś Nieznany w Nieznane.

Mężczyzna.

Szalbierko.

Dziewczyna.

Za tobą idę.

Mężczyzna.

Czy wiesz czego szukam?

Dziewczyna.

Cóż mię to obchodzi.

Mężczyzna.

Znużenie — umierają wschody i zachody słońca
u nóg wędrownych beznadziejnie.
Puste jest sine morze
i nieme szczyty gór,
jałową jest ziemia głodnemu.
Wiem, że już nie znajdę tutaj niczego,
coby mogło zaważyć duszę,
jeno za ostatnią jałmużną
wyciągam zgłodniałe ręce
daremnie.

Dziewczyna.

Czego szukasz?

Mężczyzna.

Lęku, — przyjdź i poświadcz, że JESTEM,
a wyrwij mię ręką upiorów
z przepaści Zagłady.

Dziewczyna.

(Pokuśliwie). Znasz zbrodnię?

Mężczyzna.

(Beznadziejnie). Mogę ją czynić sercem dziecka.

Dziewczyna.

Dawno tak idziesz?

Mężczyzna.

Nie pomnę.
Nie mam początku dniom,
a dni nie mają ciągu.

Dziewczyna.

A owi dwaj?
Broczyła za tobą droga od ich spojrzeń.

Mężczyzna.

Upiory,
wloką się za mną nocami,
— wróć się wróć — szepcą,
— spójrz wstecz, a znajdziesz. —
Spoglądam i widzę zgniłe oczy
i mętne dwie łzy dziecka
kłamią płacz.

Dziewczyna.

Tak się boję, tak się boję;
kto oni?

Mężczyzna.

Echa słów umarłych.

Dziewczyna.

Kto oni?

Mężczyzna.

Nie było ich nigdy.

Dziewczyna.

Miękkim ruchem piastunki kładłeś niekiedy ręce
[na ich głowach.
Kto oni? Kochasz ich, kochałeś ich kiedy?

Mężczyzna.

Tych obcych?
są, czyli ich nie ma?
cóż mię obchodzą.

Dziewczyna.

Mrozi mię twój głos.

Mężczyzna.

A na drodze powiędły kwiaty,
złote, szkarłatne i fioletowe kwiaty.
Dźwięczą gongi; zaraz rozewrą bramę.
Oto pieniądze, kup mi ze straganów wieniec
[na głowę;
zaraz wyjedzie na swym wozie Pani Mamideł.
Więc to już, więc to już.

Dziewczyna.

Nie, to mój wieniec, ten piękniejszy dla ciebie.

Mężczyzna.

Co czynisz?

Dziewczyna.

Tyś jest droga moja,
tyś jest mój początek i koniec.

Mężczyzna.

Dziewczynko, dziewczynko, czekaj jeszcze,
może się znowu narodzisz.

Dziewczyna.

Ty wiesz, że nie.
Można żyć, umrzeć i zmartwychwstać,
ale ty wiesz, że raz tylko można zmartwychwstać.

Mężczyzna.

Żal mi cię — przypominasz mi siostrę.

Dziewczyna.

(Nagle całując go w rękę). Nie żałuj.

Mężczyzna.

Lśnią w słońcu zamknięte rygle bramy,
ze ślizkim zgrzytem się rozewrą.
Chwila czekania długa, długa.

Dziewczyna.

Przedtem jeszcze połóż rękę na mojej głowie.

Mężczyzna.

Już zaraz nadjedzie.

Dziewczyna.

Kto?

Mężczyzna.

Ona, Pani Majaku.

Dziewczyna.

Ona, ona.

Mężczyzna.

Na wozie, którego koła miażdżą, nadjedzie.
Na wargach kłamliwej kuszący, niezbadany uśmiech, świeci w wiekuistej Nocy, jak lampa mego grobu.
O Bogini, Bogini.

Dziewczyna.

Modlisz się do niej?

Mężczyzna.

Przychodziłem do ciebie, jak dzieciątko maleńkie, jak dziecko głodne, które szuka mleka matki, bo mu wysycha serce.
W piersiach, któremi karmisz światy,
smutna niemowlęca ma dusza nie znajduje [mleka,
w pustkowiu ich szaleje moje piekło.
Omdlałemi rękoma szukam mojej duszy,
a wokoło pustkowie,
JESTEM — czyli mię niema?

Przebaczone ci jest wszystko, —
i Ból i Męka i Mozoł i Wesele,
żeś mię jeno nimi kłamała,
by rozwiać potem kłamstwo,
we wiekuistem zatraceniu.
Odpowiedz, gdzie jestem, — pokaż.
Litości.
Uklęknę cichy pod obręcze kół;
kiedy się będą owijać jelita koło szprych twego
[wozu,
uśmiechnę się do cię ufnemi wargami dziecka,
jeno ty ześlij przemijającemu zwiastuna,
niechaj konającemu rzeknie Lęk — JESTEŚ. —
O Lęku, Lęku, jeszcze to ostatnie.

I. Towarzysz.

Milcz, milcz,
wszędzie mię goni i ściga,
ni chwili spoczynku.
Uciekałem na pustynie, do cichych domów,
do świątyń i do więzień,
a wszędzie za bez tchu goniącym
szedł On;
gdzie schron, gdzie schron?
Och, spocząć, spocząć nareszcie.
Boże, Boże!
Co pocznę, co pocznę,
kto da twarz Lękowi memu.
Zamknąłem drzwi na klucz,

przykucnąłem w kącie,
w kolana drżące
wtuliłem latające szczęki;
ktoś zaraz wejdzie, —
kto? kto? —
tego nie powie mi na świecie nikt.
A tam u drzwi czyha on,
on Beztwarzy,
czai się, czai...
Niechaj ma twarz szatana,
ale niechaj go ujrzę,
najstraszliwszą zjawę wytrzymam,
ale on nie ma twarzy; — ratunku, ratunku.
Nadaremnie narzucam nań najpotworniejsze
[oblicza,
idzie trop w trop Beztwarzy, — ratunku!
O ten niewidomy Lęk!
Kto zna moje noce,
kto potrafi zanurzyć źrenice aż do dna moich
[nocy,
aż w ten lej,
kędy się szamoce
widem rój.
Czyje serce nie rozpryśnie struchlałe
na widok owych korowodów,
co płyną w długich procesyach
do mego łóżka nocą.
Ale nie przed nimi to,
nie przed nimi
uciekam wokoło ziemi,

okrwawionemi nogami
i ponad gwiazdy ciche
białemi wargami skowyczę,
albo na wierzchu ziemi
w pyle gwieździstym przykucam
i tak drżę, tak drżę.
Siedzę na krążku ziemi,
na małej kulce, siny od przerażeń,
lecę wśród gwiazd,
a słońce palące zakryć nie może
Tego, Tego, Tego
i żadna gwiazda nie ma dlań swej twarzy.
To wszystko nie To, —
zacisnąłem powieki,
zwinąłem się cały w kłębek,
czuję, już się skradają,
idą do mnie cichutko, cichutko:
twarze obłąkane,
skamieniałej męki spazm,
umęczone oczy,
albo ciekące, krwawe ślepców oczodoły;
nad zgasłe gwiazdy wyciągają ramion badyle,
płazy o anielskich twarzach,
opuchłe głowy zbrodniarzy,
w których się błękit oczu dziecka marzy.
Co wyda Noc,
co zbrodnia zrodzi,
co zatracenie wykołysze,
zjawia się w głuchą ciszę.

Potworne nieziemskie zjawy,
nieznane twory
zwolna się ku mnie suną,
już wyciągają ręce...
na czoło kładą dłonie...
Wówczas otworzę oczy i spojrzę, —
O! o!
Bodajby wszystko, tylko nie to, —
— Nic...
A na tej otchłani,
która połknęła mój oszalały mózg,
jak cienkie łupinki,
majaczą nocne zjawiska,
tekturowe maski,
i o d s ł a n i a j ą to najstraszniejsze,
czego już znieść nie może samo przerażenie, —
Nic, — — coś, co nie ma twarzy.

Dziewczyna.

Czego tu szukasz?

I. Towarzysz.

Cień mię nadziei łudzi
i szepce — gdyby — —
Może w rozpryskującym mózgu
mój Lęk ukaże swą Twarz ginącym oczom,
i konające wargi wyszepcą jego imię.

II. Towarzysz.

Złudzenie, złudzenie,
zbawienie jedno jest jeno
i jedna nazwa na wszystko — Ból.
Nieprzebrane jest jego miłosierdzie
kędy opuści cię brat,
i kędy z matki twojej zostanie jeno pusty dźwięk
[nazwy,
tam cię torturą swą ukołyszą wierne jego dłonie,
zaśnij — sen, sen.
Włożyłem krzyż na ramiona,
w cierniowej koronie
ku spoczynkowi Golgoty podążam —
o Łaski święta godzino;
a kędy upadłem pod krzyżem
pod kamieniami motłochu,
znalazłem nowy skarb — Grzech.
Nic niema cięższego nad Grzech;
w zwierciadle sumienia
jawi się duszy twarz,
i już nie odejdzie,
ani się nagle rozwieje,
przybita ćwiekiem jego do piekielnych bram,
nareszcie moja.
Kupiłem duszę grzechem.
Byłem ci cichy i biały,
jak miody i pszenice,
jak słońce jasny,
hodowałem dzieci i sadziłem jabłonie. —

Na czarne, nocne murawy
krew spływa z rąk,
żagiew się pożarna pali
w oczach pomordowanych przeze mnie;
poznałem, o Serce, iżeś nie jest wieczyste,
lecz jenoś gniazdo łez, źrenice szkliste.
A tam na starej wierzbie kołysze się trup ojca.
Ojca? włóczęga zginął nieznany,
cóż więc tak na mnie patrzycie,
twarz zdejmcie, obaczcie sami,
był pod nią wędrowiec obcy.
Na sąd mię wasz wzywacie, —
kogo? — mnie niema.
Długo błądziłem przez pustkowie,
pustka, niosąca swe ziewanie
bez celu, jako wiatru wianie,
aż mię porodził Ból
i odtąd jestem;
a zaś najbardziej bolesnym jest Grzech.
Błogosławione piekło dni i nocy,
pełnym pełnione kielichem przewiny
i na dnie jego zrodzony, dzieciny
niewinny uśmiech.
Skrada się do mnie czasem zła godzina
i szeptem pyta, —
gdzie jesteś, gdzieś ty?
przelata przez cię wszelkie czucie,
jak wiatr w gałęziach drzew,
ale gdzieś TY? odpowiedz.

A kiedy w niwecz mam iść wiekuistą
jawi się zbawca mój, Ból,
podnosi źrenicę szklistą
i świadczy zgniłą wargą, —
tu jest, w mych skrzydłach narodzony,
tu trwa na męki moich nożach;
kto pije z mego kielicha, ten nie przeminie. —
A zaś najcięższym jest Grzech.

I. Towarzysz.

Jawiła mi się wśród nocnych widziadeł twarz
nie ciebie to szukam, nie ciebie. [twoja;

Dziewczyna.

(Do mężczyzny.) Dziwnie się patrzysz na nich.
Znowu widzę ów uśmiech na twych wargach,
dotknę się końcem palców twojej wargi.

I. Towarzysz.

Nie patrz się w jego oczy.

II. Towarzysz.

Patrzę się w jego oczy.

I. Towarzysz.

Nie wiedziałem, że twarz twoja może jeszcze zblednąć.

Mężczyzna.

Grzech? czyli jest to dosyć ciężkie?

II. Towarzysz.

Łaskawym jest Ból,
miłosiernym jest Ból,
miłującym do ostatka jest Ból.

Mężczyzna.

Czyli jest to dosyć ciężkie?

II. Towarzysz.

A gdy myśli wyplecie ze swego koła
i wypuści ze swych zębów wnętrzności,
jeszcze nie opuszcza syna umiłowanego
i z ostatniego niebezpieczeństwa ratuje,
męką ciała wybawia.
Oto ręce Nieznajomego,
przybijcie je do krzyża,
aby się stały w Bólu moimi.
Oto nogi Obcego,
przybijcie je do krzyża,
aby się stały w Bólu moimi.

(Gromadka uczni skupia się koło kładącego się na krzyżu.)

I. Uczeń.

Oto gwoździe.

II. Uczeń.

Oto młot.

III. Uczeń.

Trąby huczą.

II. Uczeń.

Już się rozwarły bramy i wyjechał wóz.

II. Towarzysz.

Połóżcie mię na drodze.

Chóry.

Pani Kłamstwa i Majaku
wybaw je z życia,
wybaw je z Ułudy,
ginących zlej z prawdą twą,
zmiażdżonych stopą twoją,
przyjmij do swej chwały,
na Żywot Wieczny,
na Zagubę Wieczną.

Rzezaniec.

Pozdrowioną bądź, któraś stworzyła kobietę,
Kłamstwo twoje, Omawianie i Grzech,
między mną i tobą zasłonę i rygiel.
Zwyciężyłem podstęp twój,
bezpłodnym się stałem, jako i ty wszystko ro-
Zejdź ku mnie prawdo najwyższa, [dząca.
tęsknoto dni mych i nocy moich,
niechaj pojrzę oczyma twymi przez światy

i ujrzę ciebie, któraś jest,
w sobie, którym jest.

Chóry.

Oto uczynili się rzezańcami dla cię
i cisnęli ciała pod rydwan twój.
Zdejm o Wszechmocna zasłonę Śmierci
i zasłonę Żywota z twarzy swej
i ukaż oblicze
oczom tęsknoty naszej.

II. Mężczyzna.

(Odrywając wargi od ramienia kobiety.)

Pustka, a wszystko złudzenie, — o duszo.
Czepiam się nad przepaścią twych długich włosów,
ale po widmie twoich włosów ześlizgują się me
[ręce.
Wbić się pragnę w twe łono, ale zapadam
jeno w Majak, a ku nicości wicher zagłady
mię niesie.
Losie, gdzie jestem?

Kobieta.

Tu jesteś, koło piersi moich,

Mężczyzna.

Liliowe masz ręce.
Połóż ręce na oczach,
niechaj nie widzę, niechaj nie widzę.

Białe twe ciało kołysze się na wierzchu mar-
[twej fali
i zasłania jasnemi piersiami tę bezdeń,
w której wszystko przepada.

Kobieta.

Tak dziwnie kwitną w twym pocałunku me
[piersi.

Mężczyzna.

Odsłoń płaszcz, niech jeszcze ujrzę twe biodra.
Taka pustka, —
ale twój brzuch jest przecudowny.

Kobieta.

Umiłowany, — o dolo.

Mężczyzna.

Połóżmy się na drodze tak, byś dotykała
piersiami mych piersi, połóż stopy na moich
stopach, a rękoma zasłońmy sobie wzajemnie
[oczy.

Kobieta.

Miej litość, panie mój.

Mężczyzna.

Późno już.

Kobieta.

Ciało moje jest jeszcze białe bez skazy.

Umrzeć? dziwną słodycz czuję od tego słowa
na wargach. (Nagle wzdrygnąwszy się.)
Nie, nie, ciało moje nie ma jeszcze jednej plamki
na sobie. Widzisz, bardzo chcę już umrzeć,
(ty wiesz, że nie kłamię) tylko skóra moja
nie ma jeszcze jednej plamki — i umrzeć.

Mężczyzna.

Kwitniesz, jak biały płomień na pustyni,
nie gaśnij.
Marność jest wszystko,
kromia warg twoich.
Nicość jest wszystko,
kromia piersi twoich.
Zgasną słońca,
lecz nie zgaśnie chuć wieczysta,
niech w jej ogniu zapomni głodne Serce o sobie,
niech już zapomni na wieki wieków.
Nie chcę, by zeschły wargi twoje,
błogosławione,
by powiędły piersi twe
chwała im,
by zgasła trawiąca żądza,
cześć jej.

Kobieta.

Rodzi jeszcze życie soczyste owoce,
i cóż, że cierpną od nich usta,
jeszcze są takie, co mają smak wyrafinowanej
[trucizny.

Mężczyzna.

Nie chcę, by mi zgniło ostatnie wino przy [wardze,
pić, pić.
Zapomnieć siebie, zapomnieć!
Skoro nie można przypomnieć, to zapomnieć,
byle tak nie być.
O usta, o ręce, o piersi.

Kobieta.

Za twój ostatni pocałunek śmierć.

Mężczyzna.

O koła wieczyste, opłynięte krwią koła miażdżące.
Leci moja miłość przez światy, jako i wy
i jak wy nie rodzi.
Stapia się serca płomień, w dech przedwieczny.

Kobieta.

Słyszysz ten jęk, krzyk, krzyk.

Mężczyzna.

Nie patrz tam. patrz w moje oczy, zapomnij.

Tanecznik.

A gdy minęło niebo i ziemia,
niechaj się święci taniec,
taneczny ja wybraniec,
taneczny świata pan.
Niechaj zagaśnie wszystko,

niech zwali się w ruinę
i dziecka śmiech
i dziecka płacz
i te noce moje,
o wspomnienie najstraszliwsze,
co ściekasz po stalowem ostrzu mego śmiechu,
jak krew zamordowanego.
Już i to minęło,
już i to zapadło we wspólnej otchłani.
O noce, o noce, o noce moje!
Niechaj zawiodą nogi tan,
taneczny sam dla siebie pląs
niechaj zatańczą nogi.
Daremnie, daremnie, za lekkie stopy
nie mogą frunąć w pląs.
Daremnie siła barek pręży się w tańca skok,
trzaby je wprzódy przywalić ciężarem,
próżno wiąże do kostek niebiosa i ziemię,
bez wagi są jako wiatr.
Darmo wydźwigam piekło moich nocy,
pod któremi pękały moje piersi
i szalało serce, —
nie może nic zaważyć.
Daremnie siła barek
pręży się w tańca skoku,
nic o nim nie wie, nie czuje,
trzaby je wprzódy przywalić ciężarem,
pod którymby się ugięły mozołem
i mogły zawieść tan.

Za lekki sobie — gdzie ciężar, gdzie ciężar,
jakże mój taniec zawiodę.
Daremnie, daremnie,
nic nie jest dosyć ciężkie,
niema na świecie ciężaru,
co byłby rówien
daremnej sile moich bark.
A rydwan twój się toczy!
Przekleństwo na ciebie, przekleństwo,
przeklęta bądź świata pani;
nie minie klątwa moja,
jako i ty nie mijasz.
Darowuję ci wszystko
i ten Serca głód,
co nie miało kogo kochać,
boś je karmiła majakiem,
i ten tęsknoty płacz,
łzami bezradnego dziecka,
i ten głuchy, tępy ból pustki,
obejmujący głowę ołowianą mgłą,
i tę żebraczą niedolę,
co żebrze po gościńcach,
którędy włóczy się motłoch,
łuski dobroci
i gorycz Grzechu,
podawaną przez zgniłe ręce zielonych upiorów,
całe piekło twoje,
wszystko to jest ci darowane,
zapomniane, wybaczone.

Ale ci nie daruję nigdy,
ale ci nie przebaczę żadnej godziny,
iżeś mi dała siłę,
dla której już niema Ciężaru. —
O męko Daremnej Mocy!
Oto podnoszę do cię z urąganiem ręce,
me silne, nie mające czego dźwigać ręce,
i rzucam na cię klątwę wieczystą.
Cichy dom moich piekieł
daleko został poza mną,
raj mój ognisty.
Chytrześ mię zbyła ostatniego dobra,
udarowawszy siłą nad mękę twych tortur,
choć szczodrą brałaś zapłatę.
Gdzie jest ciężar dla moich ramion?
Ty milczysz, Ty milczysz.
Oczekuję cię cudu godzino,
oczekuję narodzin godzino taneczna,
nie ustępuję przed tobą,
a skoro tańczyć nie mogę,
to Taniec tańcem kłamię.
Wysoko podnoszę kryształowy kielich,
czerwone wino śni w nim purpurowy sen,
a stopy moje tańczą
(kto wie o tem, że to nieprawda).
Pijany jestem, pijany,
podnoszę kielich szklany,
o wino moje, o wino.
Dajcie mi wieniec Irysów na czoło.

A stopy moje tańczą
(kto wie o tem, że to nieprawda).

(Zwolna posuwa się olbrzymi, miażdżący wóz, na nim posąg bogini w zasłonach, u stóp jego w krześle z kości słoniowej kapłanka Eza, śniada skóra, rude włosy, zagadkowo uśmiechnięte oczy patrzą nieruchomo przed siebie.)

SCENA II.

Świątynia, wieczór, tylko lampy płoną, wnętrze pełne złotego zmroku, na wysokiem wzniesieniu pusty ołtarz. na stopniach rozmawiają dwaj kapłani.

Morat.

(Przechodząc.) Czuwajcie, abyście nie weszli w pokuszenie, strażnicy.

I. Kapłan.

Nieznany nikomu przybysz chyżo osiągnął najwyższy stopień w Radzie Kapłańskiej.

II. Kapłan.

A wczoraj został Wielkim Strażnikiem świątyni.

I. Kapłan.

Na twarzy jego nikt nie widział smutku, ni radości.

II. Kapłan.

Oczy jego nie są to oczy patrzące, lecz widzące. Trudno wytrzymać ten wzrok.

I. Kapłan.

Znużony jestem dniem dzisiejszym; — tyle krwi.

II. Kapłan.

Czy to prawda, że cezar Geroni wziął udział w obrzędach?

I. Kapłan.

Nasi szpiedzy poznali go w przebraniu pątnika.

II. Kapłan.

Stolica jego leży gdzieś na krańcach świata.

I. Kapłan.

Tam mówią, że imperyum obejmuje świat.

II. Kapłan.

W jakim celu tu przybył? czyż nie płacimy regularnie daniny co roku.

I. Kapłan.

Znudziła go Geronia i zapragnął zobaczyć świat inny.

II. Kapłan.

Nie rozumiem naszej Rady; tyle pątników ginie w świętej ofierze...

I. Kapłan.

Kohorty jego rozłożyły się o pół dnia drogi od świątyni.

(Otwierają się drzwi, kapłani wnoszą na noszach posąg bogini, postępują w milczeniu ku ołtarzowi. Straż eunuchów niesie pochodnie; w blasku ich w purpurze i dyademie na głowie, otoczony swą gwardyą, idzie Cezar; — na tłustym tułowiu głowa dziecka, wielka dolna szczęka, oczy zmętniałe.)

Morat.

Wnieście na ołtarz posąg Beztwarzej.

Cezar.

Stójcie. Ponad gwiazdy i słońca wznosi się ów kamień; gdybym tak wsparł na nim stopy i stanął ponad światem.

(Kapłani przerażeni.)

I. Kapłan.

(Do II. Kapłana szeptem.) Jego oczy stają się obłąkane.

Morat.

Zaprawdę, że jesteś, panie, godnym wiedzy najgłębszych tajemnic. Ty wiesz, że na początku był p u s t y Ołtarz, bo bóstwo czyni go nim tylko z bryły granitu i więcej nic ponad to.

Cezar.

O czem mówisz?

Morat.

Raczej zapytaj, panie — kto mówi — a odpowiem ci — jeszcze Człowiek.

Cezar.

Ciemne twe słowa.

Morat.

Jeno światło wie o ciemności.
O Serce głodne Czci,
O Serce głodne Miłości,
O Serce głodne Uwielbienia.

Cezar.

Co znaczą te słowa?

Morat.

Psalm odmawiam.

Cezar.

Gdybym stanął na tym ołtarzu, ja co jestem bogiem ziemi.

Morat.

Gdziekolwiek oprzesz, panie, stopy swoje, wszędy jest Miejsce. Ludów klęknięcia, dyadema twoje; ludy wieki grzebią,
a wieki chłonie czas.
Panie, jeśli twa wola, usiądź na pustem miejscu
[i ujrzyj co jest Miejsce.

Cezar.

(Oczy mętnieją jeszcze bardziej, męka; po chwili twardo, podnosząc ręce do dyademu.) **Nie, jedyną prawdą ziemi jest korona moja i tron jedyny ziemi, tron mój.**

Kapłani.

(Odetchnęli.)

Morat.

(Patrzy cezarowi w oczy.)

Cezar.

(Miesza się.) **Och, ty wiesz, ty wiesz.** (Rzuca mu się na szyję i czule tuli, łasząc się.) **Kocham cię, przyjacielu, głęboko, naprawdę cię kocham.**

Morat.

—

Cezar.

(Niesmak, chęć zemsty, zamiar, utajenie.) **Wnieście posąg na jego miejsce.**

Kapłani.

(Ustawiają posąg.)

Cezar.

Jak się zowie kapłanka bogini?

Morat.

Eza.

Cezar.

Jej włosy są jak cud zórz polarnych. Weźmijcie ten dyadem w podarunku dla świątyni. Ogień spalonych miast i krew pomordowanych ludów świeci w jego rubinach.

Morat.

Dziękujemy ci panie.

Cezar.

Oczy jej są dziwne; mienią kilka barw na przemiany. Nie mogę zrozumieć, jaki jest kolor jej oczu. (Obracając się do swego orszaku.) Elocie, zadenuncyowano cię dzisiaj, że nie chcesz mi czci należnej oddawać.

Elot.

Jeno Ojciec Niebieski godzien jest czci.

Cezar.

Zbrodnia obrazy majestatu! oddaję twe życie na ofiarę bogini. Zwiążcie go i połóżcie na stopniach ołtarza. (Szeptem do przywódcy gwardyi, wskazując na Morata.) Jutro o zachodzie słońca wbijesz go na krzyż (ze złowieszczym, mściwym uśmiechem) mego przyjaciela.

Cezar.

(Do Morata.) Pragnę spocząć, przygotujcie mi nocleg w świątyni.

(Kapłani patrzą na Morata.)

Morat.

Dziękujemy ci za zaszczyt, jaki nam czynisz. Racz w zamian zezwolić łaskawie na ofiarowanie ci mitry kapłana bogini.

Cezar.

(Zadowolony.) Zezwalam.

Morat.

(Bierzę mitrę i wkłada na głowę Cezara. Cały orszak wychodzi, pozostaje na stopniach skrępowany Elot, eunuchowie, trzymający straż przy ołtarzu. — Cisza.)

Eza.

(Wychodzi z głębi, wskazując na Elota.) Kto to?

Eunuch.

Sługa Cezara; skazał go monarcha na śmierć i ofiarował bogini.

Eza.

(Idzie do Elota, siada przy nim.)

O męko szarych dni,
łkanie szarego deszczu
w jesienny słotny czas.
O światło lampy wieczorem,
w posępnej ciszy,

w której leniwa śmierć,
wahania pełna, stoi
u drzwi otwartych podwoi.

Elot.

Na życie wiedzie śmierć.

Eza.

Źle mi.
Kto jesteś?

Elot.

Wyznawca mistrza, opowiadacza królestwa niebieskiego.

Eza.

O ciebie się pytam.

Elot.

Pielgrzym ze ziemi tej, tęskniący do niebieskiej ojczyzny.

Eza.

Ja nie mam ojczyzny nigdzie. Nie mów mi już o sobie, powiedz mi o nim.

Elot.

Zestąpił na ziemię, by odkupić świat. Wyrzecz się ziemi i pójdź za nim, Cóż masz, coby było twojem?

Eza.

Złą i dobrą nadewszystko jest ziemia. Jestem

jak ona niewinna i zła. Pocałuję twe usta. Twój mistrz musi mieć piękniejsze usta od ciebie.

Elot.

Bez kobiety i dzieci trwam kapłanem na wieki, odejdź i nie kuś mię więcej.

Eza.

Przyszli już po ciebie.

(Gwardzista z kilku eunuchami podchodzi do Elota. rozwiązuje mu nogi z pęt.)

Gwardzista.

Cezar wzywa cię przed siebie.

(Odchodzą.)

Eza.

(Zatrzymując jednego z eunuchów.) Czy już uprzątnięto trupy i posypano drogę świeżym piaskiem?

Eunuch.

Tak, pani.

Eza.

Czy obmyto już ze krwi nogi słoni wywarem ziół świętych?

Eunuch.

Tak, pani.

Eza.

Czy kapłan, który ma wyłupione oczy, zmienił zasłonę na twarzy bogini?

Eunuch.

Tak, pani.

Eza.

Możesz odejść.

Eunuch.

(Odchodzi.)

Eza.

Czekaj, przyjmij w podarunku różaniec z martwych turkusów.

Eunuch.

Dzięki ci, pani.

Eza.

Tyle modlitw oplotło się koło niego.

Eunuch.

Nie będziesz się już na nim modliła pani?

Eza.

Już się nie będę modliła. Ten naramiennik z onyksami przeznaczyłam także dla ciebie; chroni przed każdem niebezpieczeństwem.

Eunuch.

O pani.

Eza.

Gdzie rozmieszczono wojsko cezara?

Eunuch.

We wschodniej dzielnicy miasta.

Eza.

A sam Przepotężny gdzie zamieszkał?

Eunuch.

Tu w świątyni.

Eza.

(Marszcząc brwi.) Dopuścili kapłani?

Eunuch.

Cezarowi? Zresztą otrzymał na poczekaniu święcenie kapłańskie.

Eza.

Sam przybył?

Eunuch.

(Uśmiech.) Czuwają nad nim przyboczne straże.

Eza.

Czy skarbiec ukryto?

Eunuch.

Cezar oświadczył, że niczego nie żąda, ofiarował nawet swój dyadem świątyni.

Eza.

Tak? Czy nie wiesz, o czem mówił z kapłanami?

Eunuch.

Nie wiem, ale dosłyszałem, jak wymieniono twe imię.

Eza.

(Drgnęła.)

Eunuch.

(Nie wiadomo, poważnie, czy drwiąco.) Cóż cię to zresztą może obchodzić. Nie jesteś-że nietykalną i jest-że na świecie człowiek, coby śmiał ręką sięgnąć na ciebie.

Eza.

Tak nauczają kapłani (dobitnie) i taką jest wiara ludu.

Eunuch.

Święte są przykazania boże, lecz odkąd staliśmy się prowincyą Geronii...

Eza.

Dokończ.

Eunuch.

Należałoby się zastanowić, czy Cezar nie należy do rzędu bogów. Jest to sprawa biegłych w piśmie świętem.

Eza.

Dziękuję ci, możesz odejść.

Eunuch.

(Odchodzi.)

(Wchodzi Zoryt, drobny, szczupły, 35-letni mężczyzna.)

Zoryt.

Ezo, Ezo!

Eza.

Ty!

Zoryt.

Przedostałem się tu w przebraniu kapłana. Przybyłem z daleka do ciebie. Odkąd odeszłaś, puste są ściany białego naszego domu.

Eza.

Domu, kędym spożywała, przydrożna znajda, chleb łaski twoich rodziców.

Zoryt.

Domu, któregoś była łaską, zanim nie stałaś się jego tęsknotą. I kwitną taksamo czeremchy i chylą się kaliny ponad źródła, które widziały twarz twoją.

Eza.

Odpłynęła już tamta woda w nieznany świat. Śpiewaj o niej pieśni, pieśniarzu, — gdy wola.

Zoryt.

Już nie śpiewam pieśni.
Kiedyś, gdyś była, jak biały gołąb, drżąca przy [mem ramieniu

nauczałem cię nieznanych gwiazd
w kwitnących naszych sadach.
Przypomnij, przypomnij źródła jasne,
przypomnij, przypomnij słoneczną pogodę.

Eza.

Nocy mrok mię i przepaść kusi.

Zoryt.

Na łąki jasne wróć znowu, przypomnij.

Eza.

Odchodzi dusza moja od kwietnych łąk,
z bezsilnem załamaniem rąk
odchodzi dusza moja.

Zoryt.

Czemu odchodzisz duszo na pustynie,
gdzie upiór strachu
pożółkłe rąk piszczele wyciąga w dal,
w mrok siny, w śmierci kościele
i tylko obłąkanym krokiem
pustka się w koło wałęsa.

Eza.

Odchodzę tam, by śnić tęsknoty sen
o szczęściu, co cichemi oczyma
bez przerwy patrzy ku owej pustyni,
kędy nie widać kościotrupa Nudy,

na której piersi wygniłej
swą senną opiera głowę.

Zoryt.

Gdybyś ty we mgle przyszła do mnie cicha,
jak złoty dym,
jak dym świętych kadzielnic.

Eza.

Nie przyjdę.

Zoryt.

Skulona nad oparami krwi,
jak mała dziewczynka drżysz,
w przerażeń godzinie.
Cóż męka duszę toczy?
słodki jest zapach lip.
Dławi myśl?
słuchaj co szumi bór sosnowy.
W chramy słoneczne cię powiodę,
kędy Bogini Kwietna
w błogosławiących rękach plastry miodu trzyma
i z złotej chmury pszczelnej, uśmiechnięta rządzi.
Na wrzosowiskach odwiecznych borów
oczyścisz ze krwi stopy;
odpoczniesz w weselu słonecznym.

Eza.

(Śmiech.)

Zoryt.

Byłaś kiedyś, jak ptak drżący, w mych dłoniach.
Przeklęte niech będą ręce me, co nie umiały
[zarzucić powroza na tęskniące twe ramiona.
Niezużyta moc gnije w mych piersiach w zły
[mrok, w cuchnącą tajnię.

Eza.

(Śmieje się bezlitośnie, naigrawająco.)

Zoryt.

Wgrąża się w noc ma dusza lękliwym krokiem,
a strach w podziemiach kwili bezradnem łkaniem
Coś na uwięzi we mnie łka, [dziecka.
a zerwać się nie może, —
rozerwij swoje łańcuchy, rozerwij.
Tyś to jest, któraś pohańbiła mię po wszystkie krańce moje, tyś to jest znużenie.

Eza.

Przestań,

Zoryt.

Wróć się, wróć do mnie płomiennowłosa,
albowiem w gruzy się rozwali ołtarz,
którym zakrwawionemi rękoma wznosił w mych piersiach dla ciebie, dla ciebie. I nie będzie nikogo, ktoby ujrzał wszystkie sprawy ócz twoich w szepcie uwielbienia; ktoby tak wszystkie ta-

jemnice czoła twego nakarmił krwią serca swego, —
tylko ja jeden, ja jeden.
Nieobjawiona przeminie dusza twoja,
a nic się po raz wtóry nie rodzi.

Eza.

Żegnaj. (Odchodzi.)

Zoryt.

Czekaj, straszliwa jest godzina zmroku.
Widma tu dokoła się włóczą.
Nie odchodź jeszcze.
Dlaczego patrzycie na mnie wygniłemi oczyma,
— nie patrzcie na mnie.
Głowa boli,
jest głowa, jak w cuchnącym tumanie;
jakże ciężką jest głowa moja,
niosę ją przez światy,
po siedmiokroć cięższą, niż światy.
Wytchnienia.
(Przebija się nożem, usuwa na ziemię.)

Eza.

(Odwraca się na szelest, podbiega.)
Co ci się stało? — Płaczesz?

Zoryt.

Nauczyłem serce słów
cichszych, niż cisza,

nauczyłem je płaczu,
któren jest jako połów
bezcennych pereł.
(Umiera.)

Eza.

(Dotyka głowni tkwiącego w piersiach noża.) A!
(Do eunuchów.) Wynieście ciało.
(Idzie w głąb, opiera się o filar.)
Ciemny zmrok,
wieczyste pustkowie.
W odwiecznym chramie malachitowa cisza
trupią swą twarzą połyska.
(Podchodzi do bocznych drzwiczek, uchyla zasłony.)
Nianko!

Nianka (siwa staruszka).

(Wychodząc.) Pozdrowioną bądź dziecinko moja umiłowana.

Eza.

Z daleka fujarki leci śpiew;
rozkwitły czeremchy srebrne,
dębowe szumią gaje,
a śnij, a śnij.

Nianka.

Tęsknisz zazulo?

Eza.

Ciemno tu, złote lampy się palą
i dymy po powietrzu wloką.

Niańka.

Przypominasz biały dworzec ze złotą strzechą?

Eza.

(Przeciągając palcami po rozpuszczonych włosach.)
Pachną włosy krwią. Kocham ten zapach,
jest nad kadzidła, które trzymają królowie
w kryształowych skrzyniach.

Niańka.

(Podając sznur pereł i dzban.) Zlej włosy wonnościami i wpleć te perły.

Eza.

Czarne perły.

Niańka.

I krwi olejków.

Eza.

Od kogo?

Niańka.

Przysłano ci to z pismem.

Eza.

(Rozwija zwój purpurowy, jedwabny i czyta.)
Cezar czarnych pereł sznur śle w podarunku;
tak w głębiach, gdzie nie dochodzi słońce,
krzepną łzy oceanów,
w tęsknocie za tobą.

Cezar alabastrowy kruż olejków
pod stopy te wylewa;
tak pachnie sen podzwrotnikowych lasów
w noce parne o tobie.
Dzierżyciel stu narodów,
władca niebosiężnych gór
i nieprzemierzonych mórz,
pan domu ze złota
i pan domu z kości słoniowej,
zeschłemi od żądz wargami, w łoże cię swoje [woła.
Wargami, które są jak krew i jak ogień, powiada:
O przyjdź o oczach jak oceanów łono,
o przyjdź o włosach, które są jak łuny palących [się miast,
o przyjdź o dłoniach, jak dwa srebrne księżyce.
Która masz twarz tęsknoty mojej, przyjdź.
Jam jest, który dzierżę mir między narodami,
a tron mój stoi pewnie jako Himalaje.
Głowa moja jest jako głowa lwa,
a stopy moje są jako skrzydła orłowe,
nie ujdziesz przed nimi, gazello.
Dłonie moje są jako szpony tygrysa
i są, o umiłowana, jak skrzydła gołębia,
ani im się odejmiesz.
Zamieszkaj po wiek wieków dom mój;
pójdź dzielić rozkosz łoża mego.
Która masz twarz tęsknoty mojej,
patrząca oczyma żądzy mojej,

o przyjdź, przyjdź.
Przy dziewiątym filarze o północy mię czekaj.
Rozkazuję przyjdź, błagam przyjdź.

Eza.

Nie usiądę na tronie, który jest jako Himalaje.
Przepaście gór, a nie nieporuszoność gór uko-
[chała dusza moja.

Niańka.

Potężnym jest cezar,
jego jest wschód i jego jest zachód.
Bacz, byś nie weszła jako niewolnica,
tam, kędy cię czekają jako pani.

Eza.

(Lekceważąco.) Nie nasyci padlina miłosnej żądzy,
jak miękki jedwab koło mego sztyletu owiniętą
[jest wola cezara.

Niańka.

(Smutnie.) Dojrzały owoc, jaki się raz na drzewie
odrzucasz od swych warg. [życia rodzi,

Eza.

Wymyślną jestem.
Daj mi na pokarm lecący ogień.

Niańka.

Władniejszy nad króle jest wszędy płynący czas,
Chytry złodziej skradnie ogień twych ócz,

wypali kwitnące sady twych piersi i biódr,
zostawi cię jak rolę bezpłodną na pośmiewisko.—

Eza.

Niańko, podobno na dalekich pustyniach,
w niskich namiotach ze skór,
władają królowie barbarzyńscy.
Ciało ich cuchnie,
a w szerokich nozdrzach noszą złote obręcze;
żony swe wprzęgują za włosy do sochy
i orzą niemi ubogie swoje ziemie.
Nęci mię, niańko, myśl o tych ludziach.

Niańka.

Bodajbyś nigdy nie zaznała, jak boli bat na
[plecach.

Eza.

Gdzież jest bicz, coby dosięgnął moich ramion?
Gdzież jest ten, coby podniósł stopę
nad głowę moją?

Niańka.

Bawisz się dziecko, a cezar czeka odpowiedzi.

Eza.

— Powiedz mu, powiedz mu... — Czeka cię nie-
[wolnica twoja.

Niańka.

Odchodzę, pani.

Eza.

Niańko, a obietnica.

Niańka.

Zapomniałam.

Eza.

Niańko!

Niańka.

Na cóż ci, pani, owe wywary zabijających ziół?

Eza.

Gdy opuścisz tę świątynię, zostanę sama.
Zostaw mi zielną śmierć na straży,
o zostaw, niańko.

Niańka.

(Wyjmując jakiś płyn.) Niepostrzeżenie w śnie
[śmierć daje.

Eza.

Dziękuję ci, niańko; żegnaj.

Niańka.

Ostrożną bądź, pani.
(Odchodzi.)

Eza.

(Do eunucha.) Czy daleko do północy?

Eunuch.

Daleko jeszcze.

Morat.

(Wchodząc.) Bądź pozdrowioną, ksieni.

Eza.

Późno.

Morat.

Oto krew przez cezara z Elota wylana,
a oto myrra i bursztyn.
Czas zapalić trybularze święte.

Eza.

Dziwny jest połysk ametystów na kadzielnicy,
jest tak cichy, jak oczy ludzi północy,
Czekaj, — wprzód do ogrodów zejdę.

Morat.

Po tarasach ciemnych,
po oszlifowanych płytach,
jak łzy ślepca, zbłąkanego nad morzem,
spływają rosy.
Jaśń księżycowa nad wodą
niema i bezcielesna
milczy, milczy, milczy.
Nie idź tam.

Eza.

W zielono-kryształową, nieprzeniknioną jaśnię
rozrzynającemi źrenicami spojrzę.
Uczuję na konsze ucha
ciszy kamienny młot, uczuję.

Morat.

Ale nie schodź nad stawy,
nie pochylaj się nad wody,
nad wieczyście nieznane głębie;
zrzuciły maskę dnia
i odsłonione w księżyca poświacie,
mogłyby odbić twoją twarz
i w bezdnie swoim zatopić na wieki,
iżbyś została bez twarzy.
Echo tam woła
nazwy przemilczeń wnętrza.
Albo też skłamaćby mogły twą twarz
i całe życie twe kłamstwem uczynić.

Eza.

Zęby twe szczękają w trwodze.

Morat.

Nie idź tam.

Eza.

(Zwolna, zakładając ręce na wierzchu głowy, ze zuchwałą pewnością.) Kłamstwo żywota? — a cóż [to jest prawda?

Morat.

(Nagle, jakby sobie coś przypomniał, na ustach zjawia się chytry, subtelny uśmiech.) Tyś to jest kłamstwo.
Twoje to są oczy kłamstwem,
co prawdą się staje

podobne do tych wód przeźroczy,
wszystko odbiją, a zawsze niczyje.
Zejdź i spojrzyj w rozwartą głębię.
(Tragicznie i bezmiernie obojętnie.)
Lecz jeśli oczy twe w milion się oczy
odbiją w toniach, to które wybierzesz?
Jeśli oślepniesz?

Eza.

(Z trwogą.) O ty masz takie oczy.
(Z nienawiścią.) Jak ślepa otchłań, ponad moją
[głową
zimnym połyskiem przeznaczeń się jawią.
(Nagle kusząco.) Jedwabny ogień moich włosów
pali mi plecy i ramiona,
krzyczy mój każden włos do twojej dłoni
i rwie się ku twym wargom,
do twych się piersi kłoni.
Kwitnące ogniem sny białych łabędzi,
dziewczęcych moich piersi, twoim, panie,
ustom rozkwitłe swe kielichy chylą; —
jeno przyjdź.

Morat.

(Z ironią.) Gibka, z jedwabi obiodrza
ze sztyletowej głowni
odejmij wężowe palce.
Błękitnolśniącem, jak twój uśmiech, ostrzem
nie zamordujesz oczu moich zjawy.

Jeszcze jest wcześnie,
jeszcze bardzo wcześnie.

Eza.

Ktoś ty? Nie mogę cię objąć myślą,
jesteś, jak sama ciemność.
Szukam dla cię nazwy i znaleść nie mogę;
możeś ty jest niepokój?
Nieporuszoną jest twoja twarz,
jakby się narodziła poza życiem.
Jakże straszliwie jesteś nieznajomy.
Odejdź! odejdź!

Morat.

Jeszcze jest bardzo wcześnie;
ponad stawami czyha jeszcze Zgroza.
(Z kłamliwym uśmiechem dziecka, z obojętną dobrocią.)
Czyli nie słyszysz śliskiego szelestu jej skrzydeł?

Eza.

Ktoś ty?

Morat.

Ten, który jeszcze przyjdzie.

Eza.

Odejdź, odejdź.
(Cicho, — Eza opiera się bezsilnie o filar.) Nie, nie.
(Nagle.) Teraz cię ujrzę wodo moja,
(Znika za kotarą.)

(W olbrzymiej świątyni coraz ciemniej, gdzieniegdzie płomyki lamp, daleko w głębi majaczy na ołtarzu posąg bogini, w dół od niego spadają liczne schody, na ostatnich eunuchowie.)

I. Eunuch.

Czas kadzenia nadchodzi, a ksieni niema.

II. Eunuch.

Coraz ciemniej, a ona nie nadchodzi.

III. Eunuch.

Przestrach chwyta mię za gardło.
Dlaczego jej niema.

I. Eunuch.

Może zeszła na tarasy.

IV. Eunuch.

Nie odważyłaby się zejść o tej porze na tarasy.

III. Eunuch.

Czy kto widział Kapłana-Stróża?

I. Eunuch.

Był tu przed chwilą,
spojrzał ku posągowi bogini,
roześmiał się i odszedł.
Dotąd jeszcze słyszę ten śmiech.

II. Eunuch.

Ty się mylisz, on płakał.

I. Eunuch.

Nie, on się śmiał.
Śmiał się i zrzucił z głowy mitrę.
Oto tam na stopniach leży z dyamentu i złoto-
[głowiu czapka.

IV. Eunuch.

Na ziemi! Z nim się stanie coś strasznego.

III. Eunuch.

Nie wolno mówić o Kapłanie-Stróżu.

I. Eunuch.

Dlaczego tak krzyknąłeś?

IV. Eunuch.

Ktoś idzie, ktoś idzie!

I. Eunuch.

To nietoperze latają.

IV. Eunuch.

Nie, to szeleści suknia kapłanki.
Już przyszła, już przyszła.

Eza.

Stało się.

A teraz zjaw się.
(Wydobywa truciznę, wlewa do puhara. — Idzie do ołtarza.)
Przyniosłam wam kryształowy puhar,
wino w nim ciemnym ogniem stu lat płonie,
pijcie raz na sto lat;
zaklęte są w nim sny
i sen bez snów,
i cóż jest sen? — O wino!
Pijcie, pijcie, pijcie.

III. Eunuch.

Wino?

Eza.

Bezcenne wino,
z najgłębszej piwnicy świątyni
w sekrecie wyniosłam dzban
i wam przynoszę kruż.

IV. Eunuch.

Czemu nam?

Eza.

Weselny dziś mój dzień;
mój podarunek szczodry nie wybiera.
Pijcie koleją, pijcie.
To wino jest, jak świat;
upijcie się niem, pijcie. —
Z uśmiechem patrzycie na mnie,
że się w puharze mieści;

któż wie, co koło wieści,
które ma ręka pieści;
kolisty brzeg kryształowy
koleją bierzcie.
(Eunuchowie piją.)

II. Eunuch.

Zda się, jakobym był słońcem pijany,
w ustach pozostała gorycz.

III. Eunuch.

Na ognia płynę fali w szklanej łodzi,
sen mię morzy;
zamknę powieki
i ujrzę jeszcze ciekawsze.

I. Eunuch.

Och!

Eza.

Daj puhar tym jeszcze, co u wrót.
(Wyjmuje puhar z bezwładniejącej ręki.)

I. Eunuch.

Ciemno, lampy zapalcie jaśniej.
(Wszyscy zapadają w śmiertelny sen, leżą na stopniach.)

Eza.

(Podchodzi do dwóch strażników, drzemiących u wyjścia.)
Wino przyniosłam.

I. Strażnik.

Nie wolno nam pić wina.

Eza.

To wino nie jest, jak zwykłe wino.

II. Strażnik.

(Nadstawiając oszczep.) Nie wolno nam rozmawiać.

Eza.

(Usuwa się bez szelestu, czeka, strażnicy zaczynają znowu drzemać. Podchodzi na palcach, wydobywa sztylet, wbija w pierś strażnika, ciało usuwa się bez jęku, na ten szelest budzi się drugi, uderza oszczepem, lecz Eza uchyla się, oszczep rani ją w ramię, przypada, wbija oburącz sztylet w pierś strażnika, napadnięty chwyta ją za gardło i dusi. Eza uderza sztyletem w brzuch; strażnik pada z jękiem na ziemię. Eza rozwiera na rozcież bramę, wychodzi powoli, nie oglądając się. — Płyną godziny.)

SCENA III.

Świątynia, wnętrze mroczne, przestrzenne, Miejsce Święte. Dwie kotary, jedna na zewnątrz, błękitna ze złotem słońcem, druga do miejsca Święte Świętych biała, z boku na podwyższeniu, do którego wiodą szerokie schody, olbrzymi basen bronzowy, spoczywający na karkach dwunastu lwów, po przeciwnej stronie, nisko ołtarz, z płonącym Wiecznym Ogniem, na słupach liczne wota w złocie, srebrze, koralu. Z zewnątrz dochodzi głuchy szum licznych tłumów. Na środku malachitowy sarkofag, na nim mumia. Śmiertelnemi, lnianemi chusty związano nogi, które zaszły do tego grobowca i ręce, które wzniosły ów grób nad sobą. Leży w zgrzebnej, pątniczej koszuli i w nałożonym na nią sztywnym złotolitym ornacie arcykapłana, na głowie korona, stopy oparte o berło, u wezgłowia płonie alabastrowa lampa. Przy grobie stróżują dwaj kapłani.

I. Kapłan.

Trzydzieści lat już mija, odkąd spoczywa w śnie wiekuistym święty zewłok.

II. Kapłan.

Zesztywniały na wieki ręce, które błogosławiły dalekie ziemie.

I. Kapłan.

I zesechł na zawsze język, głoszący najwyższe prawdy.

II. Kapłan.

A duch Najwyższego, porzuciwszy znużone Oczy i zmęczone Serce, wcielił się w dziecię, by odpocząć po mozole wielkości w beztrosce dziecięcej.

I. Kapłan.

Dorosło i dziecię; weźmie święcenie najwyższe i zdejmie ciężar ubioru ze zwłok.

II. Kapłan.

Wtedy nagie złożymy do wnętrza sarkofagu i zalutujemy wieko na wieczną ciszę.

I. Kapłan.

Do twoich-że to martwych stóp ludy ongi padały?

II. Kapłan.

Dał światu nową twarz i ukazał na czynie cień wielkości; bo działał sprawy, jakich nikt przed nim nie podjął, w taki sposób, iż się zdawały najmniejszemi z tych, jakie w swej tajni chował.

(Słychać pojedyncze powolne uderzenia wielkiego dzwonu.)

I. Kapłan.

Już czas, wprowadźmy Przeznaczonego. (Wychodzą.)

(Odchyla się biała kotara, postać kobieca w zasłonach idzie ku sarkofagowi, pochyla się nad mumią.)

Córka Słońca.

Odeszli. W samotności i potędze jako za życia, tu leżysz. Po raz ostatni jeszcze twarz umiłowaną obaczę. Przyjdzie synaczek, weźmie koronę lichą, berło wiotkie i opuszczą cię już do ostatka, na sen nieprzespany. Już cię nie męczy małość żywota. Umiłowany mój, przy mnieś to zapominał Nudy; syciłam cię rozkoszą i niepamięcią do znaku, — kochanku. Zastąpiła mię na łożu twoim śmierć, nie pomnisz już mych bioder, piersi, ust, hołubi cię śmierć-rywalka, kochanku.

(Pochyla się jeszcze bardziej, całuje usta i znika za białą zasłoną. Pusto, płomień w alabastrowej lampie migoce.)

Ar.

(Wchodzi, poprzedzony przez obu kapłanów, młody mężczyzna, boso, w długiej koszuli, na szyi sznur pokutny; podchodzi do ołtarza i siada na kamiennem siedzisku. Kapłani skłonili się i odeszli, dzwon milknie. cisza.)

Przyjaciel.

(Uchyla błękitnej zasłony, wchodzi, przyklęka przed zasłoną białą, potem podchodzi do Ara.)

Bądź pozdrowiony.

Ar.

Witam cię, przychodzisz, jak przypomnienie dalekiego, mglistego snu.

Przyjaciel.

A jednak niewiele lat zbiegło, gdyśmy się ostatni raz widzieli.

Ar.

Nie pomnę.

Przyjaciel.

Zmieniłeś się; patrzysz na mnie oczyma starca i dziecka zarazem.

Ar.

Przeminęła już moja młodość.

Przyjaciel.

W sadzie życia jeszcześ nie zerwał swych owoców.

Ar.

I zwinęła się już moja Droga w Koło Tajemne, a tam, gdzie niegdyś był jej początek i koniec, patrzą do wnętrza oczy zgrzybiałe i starsze od nich oczy Dziecka.

Przyjaciel.

W szumie pątniczych modłów i dymie świętego ognia siedzisz dziwnie samotny.

Ar.

Zawsze byłem samotny.

Przyjaciel.

W samotni wychowywano cię do wielkości.

Ar.

Nie w pustelni mej byłem samotny, — o ciszo. I więcej, niźli wielkość, objawiłaś mi ciszo!

Przyjaciel.

Modlą się tej godziny narody o ciebie i odmawiają kapłani psalmy za zwiastunem.

Ar.

Głusza koło mnie, zda się, że nie słyszę twych słów; przyjmują je tylko moje uszy.

Przyjaciel.

Wiesz przecie, kim jestem.

Ar.

Być może, że wiedzą o tem moje oczy, — może i one nie wiedzą; nie potrafię zamienić jednego

słowa z memi oczyma. Zresztą nie wierzę moim oczom.

Przyjaciel.

(Patrząc bystro.) Kto straci oczy powiek, zyskuje Oczy Tajni. O źródło wieczyste, krynico dosytu.

Ar.

(Uśmiech.)

Przyjaciel.

Snać dane ci tajne Widzenie. Ciało twe, wyschłe i zwiędłe czasu długich postów, przed najwyższem święceniem, zda się cieniem Niewiadomego, a na milczących wargach twoich, jakby pozostał ślad fali wiekuistej.

Ar.

(Podnosząc oczy.) Mądrem jest wyrzeczenie krwi, a głód ciała syci duszę doznaku. Tajna mądrość? powiem ci tajną regułę nauczycieli. — Wycieńcz ciało tak, by było nastrojone na ton, któremu j e s z c z e nastarczy dusza, — i wtórą — Strzeż się być struną nastrojoną p o n a d jawę.

Przyjaciel.

(Przestrach.) Nie mogłem dotąd nazwać twej twarzy; już wiem, jest niema, milczy o wieści gorszej, niż przepaść.

Ar.

Zostań, miły.

Przyjaciel.

Nie, odjeżdżam. Czeka mię żona i dziecko; kocham ich i tęsknię do nich, przytem mój rozległy handel jedwabiem nie zostawia mi wiele czasu. Jestem człowiekiem pracy.
Czemu się uśmiechasz?

Ar.

Przypomniały mi się dawne rozmowy.
Jakże trudno żyć ci bez kłamstwa.

Przyjaciel.

Sądzisz, że nie zniosę prawdy?

Ar.

Nie mówiłem o prawdzie, lecz o braku kłamstwa, o kochający swą żonę i dzieci.

Przyjaciel.

Zapominasz, za czasu niewiele, najwyższy kapłanie i cadyku, że czemś jednak żyć trzeba.

Ar.

Kto wie, miły. A gdyby tak pokazać światu i sobie, że można n i c z e m, — o chwilo wiekuista.
Czy mię rozumiesz?

Przyjaciel.

(Dreszcz.) Żegnaj.

Ar.

Żegnaj, miły. Niech ci się dobrze wiedzie w twym cichym, jasnym domu.

Przyjaciel.

(Wychodzi.)

III. Kapłan.

(Wchodzi bocznemi drzwiami; chyli się przed Arem w pokłonie.) Modlisz się panie za ludy i siebie?

Ar.

Bez prośby zwykłem się modlić.

III. Kapłan.

Błaganiem jest modlitwa.

Ar.

Któż wie, czem jest modlitwa.

III. Kapłan.

Dzieciątkiem małem cię widziałem. Biegałeś po ogrodach klasztornych, a nie złamałeś drobnemi rączkami kwiatu, chrabąszczaś na ścieżce nie zdeptał. A kiedyś nie chciałeś spożywać ryżu, by ziarna plennego nie zniszczyć (uśmiechając się smutnie) i dopiero zgłodniały jadłeś.

Ar.

(Obojętnie.) Pamiętam, bawiłeś się ze mną muszelkami. Byłeś już wtedy siwy.

III. Kapłan.

Wcześnie osiwiałem. Bawiłem się z tobą i śmiałem się śmiechem, podobnym twojemu; ale nie wraca dziecięctwo.

Ar.

Nic na szczęście nie wraca. Jeno Dziś godne jest podjęcia.

III. Kapłan.

Długo czekał pusty stolec na ciebie, aż przyjdziesz, najwyższy kapłan; długo wznosiliśmy korne prośby ku niebu, aż Słoneczny Ojciec wybrał twe dłonie, by zlać przez nie moc swą i łaskę na rodzaj ludzki. Gdyś ty w pustelni przygotowywał się do wzięcia największego ciężaru, modliłem się o ciebie godziną zmroków i godziną wschodów słonecznych.

Ar.

W głosie twym słyszę miłość, jaką ma się prawo kochać tylko samego SIEBIE.

III. Kapłan.

(Chyląc głowę, jak pod uderzeniem.) Jam już stracony, została mi tylko jeszcze wiara w Innego.

Ar.

We mnie?

III. Kapłan.

Twoje to imię wyryto pod pieczęciami tajemnicy i tyś jest naznaczon stygmatem zwiastuna.

Ar.

Skądże wiesz, że to ty nie jesteś zbawcą?

III. Kapłan.

(Cicho.) Za ciężkie to panie dla mnie słowo. Jestem już bardzo znużony.

Ar.

Prawo Istnienia, to prawo Zatraty. Kto na ostrej igle między Istnieniem a Zatraceniem nie waha się każdego momentu, tego nigdy nie było, niema, nie będzie; ten był jeno sam sobie złudzeniem.

III. Kapłan.

Nie mam już sił.

Ar.

(W zadumie.) Któż wie, czy całego siebie stracić, nie znaczyło całego SIEBIE zyskać.

III. Kapłan.

Może był kiedy czas na twe słowa. Panie, czemu mię dzisiaj gubisz.

Ar.

(Przyjaźnie.) Usiądź.

III. Kapłan.

Żyłem zbyt długo; pozostała mi już tylko miłość do człowieka.

Ar.

Oszukujesz się, ty kochasz Wymienionego. Czy sądzisz, że on cię odkupi?

III. Kapłan.

(Przyklękając.) Ciebie zwą nasze księgi zwiastunem.

Ar.

(Obojętnie.) Powstań. Czy liczne przybyły pielgrzymki?

III. Kapłan.

Płyną ludy na uroczystość wyświęcenia pośrednika między niebem a ziemią. Przybyli, których tłoczy grzech, po odpuszczenie, których łamie smutek, po pociechę, których choroba nęka, po uzdrowienie. Maluczko, a spłynie na namaszczone twe ręce modlitwa narodów, abyś ją poniósł przed Ojca Niebieskiego.

Towarzysz.

(Wchodząc temi samemi, co i kapłan drzwiami.) Cześć ci, panie!

Ar.

Dawnoś przybył z naszego klasztoru?

Towarzysz.

Jeszcze proch nie opadł z mych sandałów. Pozwól, że pójdę umyć wprzód stopy.

Ar.

Pozostań.

III. Kapłan.

Odchodzę, by przygotować oleje, któremi namaścimy twe ręce i nogi i myrrę, którą okadzimy twe czoło.

Towarzysz.

Z 'mniszej celi wywiedziony w przepych tych ścian, cóż tak ważysz głęboko?

Ar.

Nie trupi szkarłat władzy; zbyt nisko leży. (Podchodzi do sarkofagu, opiera ręce o koronę trupa.) Władyka.

Towarzysz.

Mumia?

Ar.

Nie rodzi-ż człowiek tylko mumii i cokolwiek uczynione, nie jest-że mumią? Oto wzniósł nad sobą wysoką piramidę, trupowi swemu grobowiec godny.

Towarzysz.

Pałac, świątynię i grób zarazem.

Ar.

I mieszkanie moje aż do zgonu.

Towarzysz.

Czyli, jak uczą kapłani, do nowego twego wcielenia.

Ar.

Poniosą wtedy zewłok mój do grobowca, w kamienny ostatni schron, któren pod wolą moją, krwią i potem mozołu wznosić mi będą ludy od chwili zasiądnięcia mego na tronach. (Do mumii.) A ty zostaniesz w samotni swej opuszczon i zamurowany. I stanie się grób mój świątynią i domem następcy, jako ten jest moim. (Do mumii.) Wszelako powiadam ci, iż tyś jest ostatni, ani kto po mnie będzie.

Towarzysz.

Idących wieków ciąg słyszę.

Ar.

Na wszystkiem, co jest Grobem, iż jest Miejscem, ślad Drogi widać.

Towarzysz.

(Patrząc na ściany i sklepienia.) Nie to mię dziwi, iż mogli mocarze takie groby zwłokom swym

wznosić, lecz zdumieniem przejmuje mię myśl, jak potężnymi musieli być na to za życia.

Ar.

Jednak za wieczną mieli jeno mumię i grób jej.

Towarzysz.

Jąkże potężnie musieli dzierżyć życie, by módz sobie pozwolić na taką chimerę.

Ar.

Jeno trup jest czynem i jawą.

Towarzysz.

Czem-że jest tedy to, co JEST?

Ar.

(Pogląda mu w oczy.)

Towarzysz.

(Na chwilę ściągnęła mu się twarz i zaokrągliły oczy, jak temu, co się pochylił nad otchłanią.) Nic nie wiem.

Ar.

(Uśmiech, — uspakająco.) Juześ zapomniał. (Wraca z powrotem do ołtarza, siada w kamiennem krześle.)

Towarzysz.

Jeszcze w tej chwili leży na twoich oczach kamienna, szara cisza pustelni magów.

Ar.

Za cicho tam było, by słyszeć jej słowa.

Towarzysz.

A jednak pieczęcie jej leżą na twych powiekach.

Ar.

Kiedy za odchodzącym zamykały się żelazne wrzeciądze klasztoru, wtedy to zardzewiały ich zgrzyt nazwał ją po raz pierwszy.

Towarzysz.

I ostatni.

Ar.

Raz tylko można nazwać.

Towarzysz.

Dziwnym jest ów zamknięty, kromia wybranym, klasztor.

Ar.

Bardzo dziwnym.

Towarzysz.

Morze tajemnic.

Ar.

(Wzgardliwy uśmiech.) Tajemnic.

Towarzysz.

Strzeżonych tak pilnie przed oczyma profanów.

Ar.

(Uśmiech.) Nie, nie o tem myślałem, lecz o pewnej spróchniałej wierzbie.

Towarzysz.

O wierzbie?

Ar.

Że umiała na sobie pokazywać rzecz niewidzialną, — wiatr. Rosła przed oknem mej celi i kiedym schylony badał księgi, uderzała niekiedy o szyby gałęzią. —
O najmądrzejsza.

Towarzysz.

Uczono cię tam czynienia cudów.

Ar.

A tak.

Towarzysz.

Straszliwy dar.

Ar.

Cisza ma zawsze jednako głośne wargi, właśnie na tyle, by nazwać, a więcej ponadto nic.

Kapłan.

(Przechodząc.) Córka Słońca, matka twa, rozpoczęła już swe modlitwy.

Towarzysz.

Nie widziałeś nigdy twarzy swej matki?

Ar.

Nauczają, że ktoby ją ujrzał, padłby trupem. Ale raz zdawało mi się, że błysły przez zasłonę smutne, kobiece oczy i chude, zwiędłe ręce przesunęły się cicho po mej głowie.

Towarzysz.

Opowiadają, że kryje twarz nieczłowieczą i że niezmiennie trwa, odkąd poczęła się wraz z ziemią.

Ar.

W klasztorze naszym trawili starcy życie nad dociekaniem, czy jest Niemą, czy Milczącą.

Towarzysz.

Według wykładaczy pisma ty masz być jej wargami.

(Rozlega się głos dzwonu.)

Ar.

Odezwał się dzwon; pozostaw mię samego.

Towarzysz.

(Skłonił się i odchodzi.)

(W jednych z bocznych drzwi ukazują się ostrożnie dwie młode dziewczyny.)

Tela.

To on, drżę cała. Nie patrzy w tę stronę, ale czy schylałaś się kiedy nad przepaścią, czy wiesz, jak przeraża i nieprzemożenie ciągnie. Szedł aleją i spojrzał na mnie; czułam, że ginę, — przerażenie i jakieś bolesne, straszne szczęście zaguby.

Elka.

Nie rozumiem cię, siostro.

Tela.

Tak bardzo się boję, siostrzyczko; zda mi się, że chłoną mię jego oczy i tak drżę, Przytul głowę do mojej głowy, Elko. (Szeptem.) Zda mi się, że w piersiach moich jakieś śnieżne ptaki, które umierają nawet od obcego spojrzenia, giną pod jego jastrzębim dziobem i lecę w przepaść pełna żałości zmarłych.

Elka.

Co tobie, siostro?

Tela.

(Do ucha.) A na grobie moim wybucha kwitnąca jabłoń i drżę cała pod rozpęknięciem mych kwiatów i wstydzę się, że tak dziwnie pachną i lśnią, tak bardzo się wstydzę.

Elka.

Boję się, siostro.

Tela.

A dziś rano mówi mi ojciec: — Na Radzie Kapłańskiej wybrano cię na małżonkę dla Pana.

Elka.

Chodźmy już, jeszcze nas kto spostrzeże.

Tela.

I wiesz, siostro, że ja o nim myślę równocześnie — mój Aruś, mój malutki.

Arcykapłan.

(Zjawia się we drzwiach.)

Elka.

Ojciec!

Arcykapłan.

Elko, czemuś wyszła z teremów. Telo, nie wolno ci jeszcze tu przychodzić. Idź, namaść ciało olejkami, odziej włosy w białe róże i czekaj na wezwanie.

Dziewczęta.

(Pierzchają.)

Arcykapłan.

(Podchodzi do Ara.) Czuwasz, Panie?

Ar.

Tu jestem.

Arcykapłan.

Nadchodzą już kapłani.

(Z bocznych drzwi wychodzi procesya kapłanów, równocześnie rozsuwa się zasłona błękitna; widać liczne tłumy pątników.)

Chór kapłanów.

(Przyklęka.) Pani tajemnic, dziewica czysta
porodziła niepokalanie syna-zwiastuna.
Nad trony wnijdź, nad ludy władaj pasterzu,
dusz rządy weźmij z Niebem w przymierzu.
Roztworzyła na ołtarzu matka twa księgi święte
i czyta tajnię wyroków.
Modli się Córka Słońca do Nienazwanej.
Módlmy się.

Chór pątników.

O Wszechdarząca, trumna u twych stóp,
z rąk wyciągniętych Miłosierdzie spływa,
o miłosierną bądź, jak Słońce-syn,
od klątwy wybaw win.
Przed głodem chroń i morem,
kalekie uzdrów i chore,
owoców w polu strzeż,
bydła w oborze,
dziecięcia w matki łonie.
Nad rodem ludzkim berło dzierży Smierć
i Zatracenie chwyta ziemi syny;

otocz nas skrzydłem swojem, Matko matek,
o słysz blagalny krzyk nasz, Łono łon,
zgłodniałe usta nakarm piersią twoją;
błagania korne wznosim przed twój tron.

Chór kapłanów.

Przepada, ginie Ziemi syn,
na chwilę wydmie go dech twój z glin
i znów się w ciebie zwali.
Nie grób tu nas przeraża,
gdy dniem i nocą mąk
idziemy do niego krwawi,
Zatraty niechybnej łup,
lecz życie, co Życie kłamie,
nienarodzonych śmierć;
nim się poczniemy — mrzemy.
Ginącym ratunek daj,
zwól moment BYĆ,
udaruj SOBĄ,
cud łona swego ziść,
zródź tego, których JEST.
Oto się nasze ręce
w modlitew wznoszą męce,
Jedyny, Prawdziwy, znijdź,
osiągnij się i zgiń;
wołają CIEBIE wędrowcy,
czekają ci, których niema,
przyjdź, ocal, spełń.

Przez nocy naszych tęsknoty,
przez owej męki groty,
co w dziecka sercu tkwią,
wołanie nasze słysz;
nas niech Zatrata schłonie,
lecz w Tajemnicy łonie
ukryty, przyjdź, któryś JEST.
Zjawicielu przyjdź,
przez pustki nasze błagamy cię, Panie.
Odkupicielu przyjdź,
przez rozpacze nasze, błagamy cię, Panie.
Zbawicielu przyjdź
przez tęsknoty nasze, błagamy cię, Panie.

Chór pątników.

Krąży Wróg rodzaju ludzkiego, Pan, Zła i Ciemności,
szukając kogoby pożarł.
Jego jest Noc,
wybaw nas Światłości Wiekuista.
Jego jest Męka,
wybaw nas Miłosierdzie Nieskończone.
Jego jest Grzech,
wybaw nas Łasko Najwyższa,
Od kielicha rąk jego,
któren goryczą poi,
od przykazań jego,
które rozpaczą karmią,
od darów jego,

trwogi obłędu,
zachowaj nas Panie.

Chór kapłanów.

W łodzi-człowieku do CIEBIE zdążamy,
ratunku Twego wzywamy,
wyzuci z siebie idziemy do CIEBIE.
BYĆ ALBO NIE BYĆ — wyrok twój nad nami.
BYĆ ALBO NIE BYĆ — słowo Twoje STAŃ [SIĘ,
niech będzie wola Twoja pochwalona,
niech będzie wola Twoja wypełniona.
Lecimy tęsknotą gnani,
o bramy Twoje skrzydłami bijemy,
a gdy od męki giniemy,
obracamy oczy nasze na siebie, —
nas niema;
obracamy oczy nasze ku TOBIE,
ukaż się, ukaż, ukaż się!
Między nami a TOBĄ TEN, KTÓREGO [NIEMA, OBSERWATOR,
kto łupem jego, tego nigdy nie było, niema, [nie będzie.
O STWÓRCO przyjdź i posiądź serca nasze,
usłysz tęsknoty nasze.
To mówię ja, Człowiek ustami dziecka w cie- [mności głuszę,
to mówię ja lecący w zawierusze,
jeżeli jesteś MNĄ, czemu MIĘ niema?
jeśli nie jesteś MNĄ, czemu MIĘ niema?

Panie, pospiesz ku ratunkowi memu,
Panie, pospiesz ku wybawieniu memu.
Jakąć dać cenę za duszę;
BYĆ, albo NIE BYĆ, wyroki to są moje.
Niechaj się pełni los,
duszne podjąłem znoje;
bez jęku i bez łzy,
rzuciwszy kłamstwa sny,
Wydarzeń czekam godziny, —
niechaj się dzieje.

Chór pątników.

Błogosławieni, mający Dom i Ojca.
Wybaw nas od bezdomnego pielgrzymstwa,
od niedoli tułaczej,
od bezpańskiego Serca,
od próżnyeh Wnętrzności,
od ślepych Oczu,
Słońce, Ojcze Niebieski, miej nas w swej pieczy.
Słońce, Ojcze Ziemi,
Słońce, Domie złoty,
Słońce, Zbłąkanych Kierowniku,
Słońce, Ginących Ratunku,
Słońce, Wnętrzności Nasycenie,
Słońce, Serca Ukojenie,
Zmiłuj się nad nami.

(Nastaje chwila modlitwy cichej, słychać tylko westchnienia, niekiedy pojedyńczy jęk, czy krzyk. Śród licznych chorych rozciągnięty na płótnach młodzieniec; nad nim schylona matka.)

I. z tłumu.

Już kona.

II. z tłumu.

Zaraz skończy.

I. z tłumu.

Jednego miała wdowa;
chyli się nad nim nieprzytomna,
modły za konających szepce,

III. z tłumu.

Nie płacze i nie mdleje,
gdy syn wieczności przestępuje bramy,
nie czas,
modlitwą bije w wieczyste wierzeje,
aż po za grób wyciąga matki ręce,
gdy serce kona w męce;
poza grób syna wodzi,
i jeszcze po za grobem
raz wtóry syna rodzi.

Chór.

Wieczyste ręce Matki sięgają poza grób.

Matka.

Panie, on zginąć nie może,
tenci mój Syn, a ja Matka jego,
w piersi niosąca wszystkie bólu noże.

Wszystko być może ułudą,
klątwą dusz jeno i żmudą,
nawet Ty sam, wiekuisty Panie,
nawet o CIEBIE wołanie.
Śród grozy Majaku stoję niezwyciężona,
wieczysta Prawda na wieki władnąca,
patrz, otom grozą twą nieulękniona,
źrenicą w źrenicę patrząca.
To macierzyństwo moje,
ten mój Syn
na wieki wieków trwa.
O Panie, weźmij go w swoje ramiona,
gdy na mem łonie kona;
z moich go rąk w Twe daję ręce,
choć serce ginie w męce;
zatraty uchroń go zniszczeniu
na wieki wieków w Twem istnieniu.

Chór.

Wieczyste ręce Matki sięgają poza grób.

Matka.

Kto rzeknie na me łono matczyne,
iż wydało ułudę, co ginie.
Nieśmiertelna, na światów ruinie,
syna mego we wieczność wewiodę;
w macierzyństwa mojego wszechmocy
trwam bez trwogi w przerażeń godzinie,

tarcza memu Synowi w wieczności,
kto w tę tarczę uderzy, ten zginie.

Chór.

Wieczyste ręce Matki sięgają poza grób.

Matka.

Bo jedna prawda jest niezłomna,
w której początek wszelka inna bierze
i trwa niezłomnie we wierze,
to Macierzyństwo moje,
ten mój Syn.
Z moich go rąk w twe dłonie daję,
gdy zrozpaczoną mię porzuca,
rozdziera serce moje.

Chór.

Wieczyste ręce Matki sięgają poza grób.

Matka.

Na mocy Syna jeno jestem,
gdybym zginęła, zginąłbyś sam Boże.
Weźmij go w swoje ręce;
oto Ci go oddaję na Żywot Wieczny,
iżby świat nie zaginął na wieki wieków.
O synu, synu, synu, synu, synu.

Chór.

Wieczyste ręce Matki sięgają poza grób.

I. z tłumu.

Umarł, pomóżmy odnieść ciało.

Chór kapłanów.

Bo może człowiek istnieć przez Człowieka
i być przez niego zbawion,
lecz Matce jeno Syn Odkupicielem
i Syn jej Zjawicielem.
Z kobietą co poczniesz Panie,
gdy syna w nice roztrącisz, —
czyli to słyszysz wołanie?

Arcykapłan.

(Przyklękając przed Arem.) Racz przyjąć Panie dary.

Ar.

Złóżcie.

Posłowie.

Zboże i miód składamy u stóp twoich;
błogosław je, o panie,
na hojne rozmnażanie

Chóry.

Zaodziejesz się w Siewcy siermięgę,
kornie zegniesz się w ziemi potęgę,
w puste ręce Pług weźmiesz oraczy,
w puste ręce Ziarno weźmiesz na siew
i tak przejdziesz orzący, tułaczy.

Chór kapłanów.

Z rąk pustych pustkę w pustce siać.
Wydołaj doli.

Chór ludu.

Oracz i Siewca pośród ludu,
kapłan, namaszczon świętością trudu.

Chór kapłanów.

Z siejącym ruchem idziesz rąk, —
śród tajemnicy twojej mąk.
Plony twe niecą twoje głody, —
trwaj bez pokarmu w swoje gody.
W gardle twem źródło żywej wody, —
nie zaznasz pragnień swych ochłody.

Chór ludu.

Błogosław domy i spichlerze.

Kapłani.

(Idą procesyonalnie do sarkofagu, rozbierają zwłoki z korony, ornatu, berła, miecza i składają nagie do wnętrza grobu, zasuwają wieko.)

Arcykapłan.

(Gasząc w głowach lampę.) O Ciszo!

Chór kapłanów.

O Ciszo!

(Procesya powraca przed Ara, klęka, arcykapłan odziewa go w koronę, daje mu berło i miecz, — ornat pozostaje jeszcze niewłożony, chór tymczasem śpiewa.)

Chór kapłanów.

Na stopy twoje tułacze,
dwa ptaki uwięzione,
chylimy czoła schylone,
zabywszy serca, co płacze.
Na głowę ziemi ci koronę
kładziemy ciężką, złotą;
zapomnij żeś tęsknotą.
Do boku miecz ci paszem ciężki,
byś żywot w walki rzucił płone,
dźwignął na barki zwycięstw klęski;
nie pomnij, że posiadający
nie stanie się walczącym,
podejmij walki znoje.
Co inne STWORZYĆ,
co inne rządzić,
oto ci w rękę berło dajem,
pracowny ty za najem.
Grosz ten miedziany weźmij w zapłacie
za to, co jeszcze w cenie,
a co Bezcenne, to ci odjęte,
za tobą, we czci święte;
przed tem uchylisz kornie czołem
przed Bogiem twym i Panem

i przetrwasz ponad ludem *żywot*,
ze zgiętem w prochu kolanem.

Ar.

Wznosić na pustce krzyk,
budować wieki
na bezechowej otchłani czeluści,
być wiecznie SOBIE samemu daleki
i minąć jako cień.

Posłowie. (Wprowadzają Telę.)

W darze ci dziewkę wiedziem krasną,
nietkniętą weźmij w swe komory.

Chór kapłanów.

Ognisk domowych stróż i piastun,
obcych za swoich weźmiesz
i więźniem swego Domu będziesz,
aż cię wybawi Zwiastun.
Kiedy już piersiom nie starczy oddechu
i będzie Wnętrze twe podobne echu
słów, objawionych za tobą,
objawień jeszcze wielkich, a już małych,
w pustce Wnętrzności twych przebrzmiałych,
gdy Nuda ponad moc człowieczą
na barki twoje cię powali,
gdy nic już nie ocali,
pojmiesz kobietę i syna porodzisz,
by szedł, skąd ty odchodzisz;

i wtóry ciężar nad miarę uniesiesz,
wielką pokorą wyrzeczeń
za łaskę Pana zapłacisz
nad jego łaskę,
iż SIEBIE dla NIEGO stracisz,
a z życia odchodząc rzeczesz,
iżeś nie brał z rąk jego jałmużny,
lecz, że ci pozostał dłużny
i że ci już długu nie odda,
chociaż syna za ciebie nagrodzi.

Chór dziewcząt.

Idziesz dziewczyno,
idziesz kalino
na zgubę, na zatratę.
Zatratą twoją syn,
dzieciątko umiłowane.
Ty syna rodzisz,
on cię stwarza,
czyli cię dola nie przeraża,
— cóż jeśli jego niema.

Ar.

Drżysz lękiem, branka wewiedziona
niewolnie w me komnaty.
Spojrzyj się na mnie zapłoniona.

Tela.

Nie bram to twoich straże i kraty,
oczy mię twoje więżą,

na dnie twych źrenic uwielbionych
węże się zguby lężą.

Ar.

Cóż piersią drżysz strwożoną?

Tela.

Nieprzemożone opasują
ginącej trwoźne łono,

Ar.

Trwogi cię nadaremnie trują;
nie tobie być mi żoną,

Tela.

Mam zwiędnąć, jak wyrwane ziele,
bezwonnie wytlić się w popiele.
Panie, pragnieniem dzieciątka żyłam,
chociażby na mą zgubę,
k'niemu dziewczynka mała tęskniłam.
Czemuż odrzucasz mię zelżoną,
jak uschłą jabłoń w ogień;
bez ciebie jam zgubioną.

Ar.

Daremnie chylisz się do nóg,
już zbyłem dusznych trwóg;
zbliża się chwila jedyna, —
sięgnę po SIEBIE.

Arcykapłan.

Zasuńcie zasłony, rozpoczynają się obrzędy tajemne. (Zasuwają błękitną zasłonę.)

Arcykapłan.

(Wkłada ornat na Ara.) Żebraczą płachtę królów włóż na ramiona i wytrwaj w bezkoronnej królewskości na straży ludowi.

Chór kapłanów.

Skarb tego świata, złote ornaty,
szara pątnicza to koszula,
nędzarzem jesteś, żeś bogaty,
gdy skarby swoje cenisz za nic,
w proch porzucając je u granic
i idziesz w zgrzebnem gieźle,
niem jeszcze przyodziany,
w szept ciszy zasłuchany.

Arcykapłan.

(Chyląc się w pokłonie przed Arem.) Wyjaw słowo — Jesteś, — powiedziane rodzajowi ludzkiemu ku zbawieniu.

Ar.

Niema mię, znaczy — Jesteś, — ale już dopełniły się czasy.

Arcykapłan.

(Stoi, zaskoczony zakończeniem zdania.)

Chór kapłanów.

Wyrzeczony SIEBIE,
ginących ocal;
na przepaści stopy człowiecze.
Martwy,
wskrześ zmarłe;
trumną serce człowiecze.
Poszczący,
zgłodniałych nakarm;
jakże głodnym jest człowiek.

Arcykapłan.

Poucz, jaka jest prawda, zwierzona mędrcom ustami konieczności.

Ar.

Była nią pokora wobec duszy własnej.

Kapłan-mistrz ceremonii.

Panie, czemu dodając słowo — była, — przerywasz obrzędy święte?

Arcykapłan.

(Trwożnie.) Przestań i pokłoń się.

Chór kapłanów.

Błogosławieni ubodzy duchem.

Arcykapłan.

Jesteś-że dość pokornym, by posiąść ziemię. Jesteś-że dość silnym, by poprzestać na Człowieku w sobie, a zgubiwszy SIEBIE, odnaleść siebie w PANU.

Ar.

Jestem dość odważnym, by być SOBĄ.

Arcykapłan.

(Drgnąwszy.) SZATAN jest TYM, KTÓREGO NIEMA; człowiek zdoli być tylko łupem jego, więcej niczem. Pokusa to Szatana chcieć być równym Bogu, zaguba to człowieka.

Ar.

Jeno zaguby godzien jest Człowiek.

Arcykapłan.

A jeśliś ty Człowiekiem?

Ar.

Tedy niech się skończy, co się nigdy nie zaczęło.

Arcykapłan.

Jedyną rzeczywistością człowieka jest Człowiek. Ktoby się chciał pozbyć Człowieka, w nice przepada.

Ar.

Z niczego stwarza stwórca.

Arcykapłan.

(Szeptem, by nikt inny nie słyszał.) Stwórz —
(Drgają mu usta jakiemś słowem.)

Ar.

(Kończąc.) lub nie bądź.

Kapłan-mistrz ceremonii.

Co czynić?

Arcykapłan.

(Nie zważając.) Kończcie obrzędy.
(Do Ara.) Wstąp na schody z marmuru
i na schody z porfiru.
Godzina chrztu nadeszła.
Grzechu pierworodnego się zbywszy,
klątwy z Drzewa Złej Wiedzy,
weźmij na się moc odpuszczania win rodzajowi
[ludzkiemu.

Chór kapłanów.

(Wstępuje na schody cysterny.)

Ar.

(Ukoronowany z berłem postępuje za nimi.)

Chór kapłanów (idąc po schodach).

Rodzi się człowiek z matki łona
i rodzi wtórnie z Łaski.
O narodziny wtóre,
godzino klęski i zwycięstwa.

Błogosławioną bądź wodo łaski,
spływająca na czoło wybrańca;
spłyń na człowieczą głowę
darze pokory,
darze czystości,
darze władzy.

Ar.

(Opiera się obu rękoma o brzeg cysterny, berło upada.)

Arcykapłan.

Wstąp do cysterny.

Ar.

Nie wstąpię, przeminął czas poczęcia w Grzechu i Niewinności.

Arcykapłan.

Apostoły i proroki woda chrztu rodzajowi ludzkiemu tworzy.

Ar.

Rzucam Oman Człowieka.

Arcykapłan.

Rzucasz Życie,

Ar.

BYĆ albo NIE BYĆ, — oto jest Dola.

(Wszyscy stoją bezradnie.)

III. Kapłan.

(Drżącemi wargami.) Ktoś jest, kędy wiedziesz; ktoś ty?

(Milczenie, nagle odsłania się kotara od Święte Świętych i ukazuje się postać kobieca w zasłonach; we wyciągniętych wysoko rękach trzyma małą skrzynkę, „Nieziszczalne", zamkniętą na siedm pieczęci; idzie powoli w stronę Ara.)

Arcykapłan.

Córka Słońca.

Chór kapłanów.

Tajemnica świątyni w twych rękach,
biada, kto ją wyda ludowi
biada, kto ją zdradzi na mękach.
We czci padamy na twarze,
wieczyste pełniący straże.

Arcykapłan.

(Do Ara szeptem.) Panie, błagam cię, nie gorsz maluczkich. Panie, złóż śluby.|

Córka słońca.

(Staje przed Arem nieruchomo.)

Arcykapłan.

Śpiewajcie ostatni psalm.

Chór kapłanów.

Nie będziesz ślubował na Niebo,
bo jest stolicą Jego,

ani na Ziemię,
bo jest podnóżkiem Jego,
ale w prochu legniesz przed pieczęciami tajemnicy,
których nie rozłamie ręka Człowieka
i weźmiesz na ramiona kapłaństwo rodzajowi
[ludzkiemu.

Ar.

(Wyrywa z rąk kobiety skrzynię, rzuca na ziemię i druzgocze uderzeniem nogi. — Długa cisza, osłupienie, potem popłoch; jedni padają na ziemię, drudzy uciekają, ktoś krzyknął „ratunku“, słychać głosy „uciekajmy, uciekajmy“.)

Córka Słońca.

Pozostańcie, tego słuchajcie. Oczekiwany zstąpił pośród was, a imię jego Zwiastun.

Kapłani.

Przemówiła, przemówiła.

Arcykapłan.

Uklęknijmy i oddajmy cześć.

III. Kapłan.

Temu, co zniszczył skarbnicę, której strzegliśmy dla rodzaju ludzkiego.

Arcykapłan.

(Po chwili wahania, wyjawiając.) Cóż za zapłatę da człowiek za duszę swoją.

III. Kapłan.

Pocóżeśmy tedy stracili życie, strzegąc skarbu?

Arcykapłan.

By przyszedł ten, co go zniszczy.

III. Kapłan.

Czemże był żywot nasz?

Arcykapłan.

Czekaniem na Odkupiciela.

III. Kapłan.

Zbyliżeśmy życie na straży daremnej?

Arcykapłan.

Wierzcie, że przyjdzie ten, co was usprawiedliwi.

Ar.

Oddalcie się i zostawcie mię samego z matką.

Córka Słońca.

(Czyni ręką ruch rozkazujący.)

Kapłani (odchodzą na dół.)

Ar.

Odeszli. Kiedy rzucam wszystko,
co jeszcze stopy wiąże,

przy tobiem chwilę przystanął w drodze,
zanim odejdę, gdzie nie dosięże
okrzyk, ginących w tej pożodze,
którą me ręce niecą.
Budowały dla mnie Dom,
wznosiły na pustkowiu Schron
matczyne twoje dłonie;
gdy obłąkuję krokiem swym gwiazdy
i rzucam je w taneczne jazdy,
jeszcze, jak lampa nikła, płonie
pośród ciemności słońc palących,
w twych piersiach dla mnie Serce,
jeszcze jak Miejsce, skąd wyszedłem
i gdzie przerażon uciec mogę,
chociaż porzucę wszelką drogę,
w przepaściach się kolebie.

Córka Słońca.

Synu!

Ar.

Zaprawdę, trwam Nieurodzony,
Przepadły, czy Zbawiony.
(Wbijając sztylet w piersi matki.)
Nikt na mnie — synu — nie zawoła,
ni Domu mię ugości łoże;
zgliszcz jeno Pustka dookoła
i głuche to Bezdroże.

(Kapłani, spostrzegłszy co się stało, rzucają się pędem do cysterny i otaczają konającą, usiłując ratować.)

Arcykapłan.

Cóżeś uczynił! matka kona.

Ar.

To był jeno Sen znużonego,
co nie ma dla swej głowy Schronu,
o cichym, jasnym Domu.
W jawie się oto Sen rozwiewa;
nie jestem ten, co mieszka.

Arcykapłan.

O umierająca, od zguby ratuj ziemię,
wyklnij Syna.

Córka Słońca.

Tego słuchajcie. O moje tęsknoty,
w pierś wbite wszystkie świata groty.
Przyszedł nareszcie Zatraciciel,
ten Pan mój i Zbawiciel.
Czyliś to ty, czyliś to ty,
pełniący moje sny;
nie jesteś-że Ty jeno marzeniem,
schodzisz-że wreszcie z mem zniszczeniem,
uciszysz wreszcie moje Serce,
wybawisz-że mię wreszcie?
W proch przed nim na kolana!
(Kona.)

Ar.

Na kolana!

Kapłani.

W prochu przed tobą klękamy.

Ar.

Idźcie i powiedźcie ludowi, że nie będzie już czcił więcej jasnego Słońca, że Zwiastun zstąpił.

Kapłani.

Niechaj przepadnie Słońce.
Jak nazwać Czci Pełnego,
jak nazwać Zjawionego?

Ar.

Ja jestem.

Arcykapłan.

Jak nazwać cię ludowi?

Ar.

TYM, KTÓREGO NIEMA.
A niechaj lud nie bada tajemnicy,
skoro pojąć nie zdoła, niech słucha,
niechaj idzie, kędy zawierucha
mych rozkazów go światem pożenie,
niechaj będzie, jak moje zachcenie.

Część kapłanów.

Zdawna w tajemnicy szerzyliśmy cześć SZATANA,
Miłosierdzie Łaskawego Pana;

wybaw Człowieka od człowieka, Panie,
zjawion na nasze wołanie.
Długo na mękach dnia jasnego
i w nocy głuchej uciszenie
czekaliśmy cię, Zbawco,
zapomnień siebie dawco.

Ar.

Idźcie i obwieśćcie ludowi.

Chór kapłanów.

(Schodzi na dół, rozsuwa zasłonę błękitną, wychodzi przed lud.).

Zestąpił Zwiastun, zdeptał Słońce
i śle nas do was, swoje gońce;
padnijcie przed nim na kolana,
władza mu nieb i ziemi dana,
słońce na rozkaz jego zgaśnie
i ziemia w przepaść runie
i światy miną jako baśnie,
nogi swe oparł na piorunie;
zszedł TEN, KTÓREGO NIEMA.
Przed tajemnicą schylcie czoła,
pójdziecie, kędy was zawoła,
Losem wam jego wola.

Chór ludu.

Wola jego Losem,
kładziemy się pokosem
pod stopy Idącego.

Tela.

(Przypadając do nóg Ara.)
Jak wicher z sobą mię porywasz,
w twym locie zagubioną.

Eza.

(Przeciska się przez tłum, staje przed Arem.)
Jesteś nareszcie, Nieistniejący;
ciebiem od wieków to szukała,
jedynie duszy mojej godny.
Krzyk warg mych leci do cię głodny,
o, moje przeznaczenie!
Zaguba moja, czy Zbawienie
w twoich się rękach ziści.
O ręce, ręce, ręce
czekałam na was wieki w męce;
nareszcie jesteś, nareszcie.
O noce samotne, rozpaczne noce,
piersi się moich tęsknota szamoce;
o wyzwolin chwilo od moich piersi,
w ogniach twych zwiędną i zginą,
przy tobie, przy tobie ogniem się nasycą,
przy tobie, przy tobie w ogniu się spalą.
Nareszcie wolna od krzyków swych piersi!
Uciszycielu weź je i zabierz ode mnie.
Wolna! swoja!
O noce straszne, przeminione noce,
ten łona mego krzyk, przyzywający
nieczłowieczego uścisku,

nigdy nie syty, duszę mą dławiący
i ten struchlały strach przed dzieckiem,
co od krańców po krańce drżał we mnie,
przed mą zagubą.
W bezpłodnym uścisku z tobą stopiona,
nareszcie, nareszcie tobą Nieistniejący, nasycona,
u ramion twoich uczepiona,
spojrzę bez trwogi na mą duszę,
spojrzę się wiekuistą źrenicą
i ujrzę SIEBIE, o chwilo!
Niechaj mię mocniej cisną twe ramiona,
o mocniej, mocniej, mocniej, mocniej.

Ar.

Skąd-że zeszłaś legendo oczekiwana;
skąd-że zeszłeś śnie tajemny?

Eza.

Na malachitu oślizłych tarasach,
na grynszpanowej zadumie kamieni
biegły me stopy, białe gołębice,
ku nieruchomo śpiącym wodom stawów.

Ar.

Dalekie, dalekie wody.

Eza.

O wody ciche, między rozkwitłemi
sadami wiśni opowiadające
pachnący duszy mojej sen.

O wody szafirowe, wody czarne, wody błękitne,
opuszczone, zapomniane, minione.

Ar.

Dalekie wody, dalekie.

Eza.

Tamto, między srebrnemi płomieniami gałęzi,
co się paliły nad i pod topielą,
pomiędzy cichych dni mych marzeniami,
ametystowym gościńcem płynęły
czarne łabędzie.

Ar.

Tęsknot mych nocy ptaki.

Eza.

Któreście są powierne tęsknot nocy,
któreście są rozpaczy głuchej ptaki,
któreście są buntu spętane loty,
któreście są klęsk mych skrzydlate znaki.

Ar.

Dziewczyno, dziewczyno.

Eza.

A oto z lochów serca nagle,
z przepaści duszy mej najgłębszych
walki się dźwignął krzyk na skrzydłach ja-
[strzębich;

w noce głuche na sercu niewolnicy
ostrzyłam jego dziób;
w noce głuche na sercu dziewczęcem
ostrzyłam jego szpony.
Pobiłam nożem me czarne łabędzie
i wlałam krew do ametystowego,
do niezgłębionego kielicha stawu.
Pochyliłam usta ku bezdeniom,
gdzie spływa serdeczna z ran krew,
a potem, głębia pijana,
ociekający krwią ptaków mych, nóż
w pierś śpiących wraziłam straży.
— Pomknęłam w świat.
(Klękając i obejmując nogi Ara.)
O zdepcz, zdepcz, zdepcz straszliwy,
lwie, zwycięzco, mocarzu,
iżeś nad wszystkie potężny,
o niebosiężny.

Ar.

O dziewko krasna,
w żądz moich sadzie rozkwitnięta cała
jabłoni biała,
o krasna, o wyśniona, pójdź.
Pod ciche gwiazdy nocy,
w pożarze włosów twych zbładłe,
w czarną jaskinię nocy woniejącej,
nocy palącej
pójdź, pójdź.

Eza.

Ogniem się żywym palę u warg,
zabyłam dusznych skarg;
co wiekuiste jeno zostanie,
resztę spopiela to miłowanie;
płomieniem w ciemność lecę,
w przepaści wnętrza świecę.

Ar.

Błogosławiona to godzina,
gdy cię w ramionach dzierżę;
a już się inna za nią jawi,
twarz we mgle ukazuje,
że cię porzucę, to duszę sławi
i moc mą tem hartuje.
O śnie mój, śnie mój ty ostatni,
nareszcie i ty mijasz.

Eza.

O to nie stoję,
cała się tobą poję.

Ar.

Okrwawionemi skrzydłami
lecą bezdomne myśli po twem czole
i spoczywają chwilami
w oczu przeźroczach,
gdzie głusza tajni strzeże.

Eza.

Mocarzu,
wejdę w twe łoże w koszuli pąsowej
ze krwi narodów, z czerwonej posoki
wymarłych ludów, a ślubne mi łoże
z rozwalin buduj miast,
aby pobladły gwiazd spokojne twarze
i by zgasły w uścisków pożarze.

Ar.

Nie jesteś ty mi Domem?

Eza.

Nie jestem ja ci Schronem.

Tela.

(Płacze cicho u nóg Ara.)

Ar.

(Poczuwszy łzy na bosej nodze, usuwa się.)

Tela.

W szponach mię twoich dzierżysz drżącą,
u twoich nóg płaczącą.

Ar.

Odejdź.

Tela.

Odejść się od cię darmo silę;
uczyń, niechaj ten łańcuch pryśnie,
co moją duszę związał;
niechaj odejdę, ową chwilę,
niosącą w sobie jak pochodnię,
i uschnę jak jałowa jabłoń,
gdy rzucił mię wybraniec.
O zwól mię od się, panie.

Ar.

Odejdź.

Tela.

Daremnie mówisz, do twej nogi
żelazna obręcz mię przykuwa,
łamie mię los złowrogi.

Eza.

Jak jedwabne pętle, w których skazańców duszą,
są twe włosy, dziewczyno.

Tela.

Puść, boję się.

Eza.

(Okręcając silnie koło szyi Teli warkocze i dusząc.)
Spocznij.

Tela.

(Kona.)

Ar.

(Schodzi ze stopni, idzie na bok, gdzie na ołtarzu płonie Wieczny Ogień, bierze głownię i przytyka do zasłony, ogień gwałtownie biegnie w górę i obejmuje cedrowe pułapy.)

Nareszcie. — Niechaj się spopieli ten Dom,
gdzie ongi, ongi dzieckiem mieszkałem.
Pamiętam, — leciały obłąkane gwiazdy,
a stopy moje mieszkały w tym płonącym dziś [Domie.
Nie żałuję niczego, niczego,
a tylko myślę w tej chwili,
że w ciszy tej rodził się Śmiech Dziecka,
którego dzisiaj już pojąć nie mogę;
co to on znaczył, co to on znaczył?

(Ogień rozszerza się coraz bardziej; Ar z Ezą wychodzi, w Miejscu Świętem pozostaje tylko III. Kapłan, opasujący ramionami sarkofag.)

Ar.

(Odwracając się na progu.) Wyjdź.

III. Kapłan.

Pozwól mi tu, panie, pozostać.

Chór ludu.

O klęski dniu ostateczny;
świątynia Słońca płonie!
Czyli to Sądu godzina,
czyli się Koniec poczyna.

Ar.

Wytnijcie święte sady,
do ognia rzućcie święte ule
i za mną stąd odejdźcie.
Już nigdy nie wrócicie.

Chór ludu.

O Słoneczny Domie!
kędyż zamieszka teraz nasze Serce,
rzucamy ciebie, rzucamy.
O rozkwitłe Sady,
sycące Wnętrzności nasze,
czem-że swe teraz nasycimy Głody!
O Uli wyrzuczonych złote miody,
czem-że warg teraz Gorycz ukoimy!

Ar.

Dana wam ziemia we władanie
i jej narody za mą wolą;
lot mych przeznaczeń waszą dolą;
pójdziecie, kędy każę.

Chóry.

Pójdziemy, kędy każesz.

Ar.

Domy spalicie,
abyście wrócić gdzie nie mieli,
a gdzie pójdziecie, jeno zgliszcza
i jeno trupy zostawicie.

Co jest w powietrzu, co na ziemi, co we wodzie
zniszczeniu to oddacie.
A baczcie pilnie, byście nie przeoczyli gdzie
coby wyrosło na popiele, [Ziarna,
iżby was nie pojęła znowu Ułuda.

Eza.

Pali się żagiew krwawa,
nad moich tęsknot umarłą pustynią
pali się żagiew krwawa.
Kiedy już ziemia będzie jako popielisko,
kiedy jej sprawy miną,
jako morzące śnisko,
co wtedy?

Ar.

Rozpoczną nogi nasze taniec
i w pląsie zerwą ze słonecznego łańcucha
i w pląsie nóg po niebiosach roztrącą.

Eza.

O chwilo, — myśli się mącą.

Ar.

I runą złote słońca w trzewia
i zwalą się gwiazdy świecące
z powrotem w me piersi śmiejące.

SCENA IV.

Tarasy marmurowe nad morzem, z boku biała fasada świątyni, po słupach pnie się bluszcz i białe róże. Tu i ówdzie grupy ludzi siedzących, lub przechodzących się. Na jednym z tarasów kilka osób rozmawia.

Ida.

(Śmieje się głośno, wesoło, potem milknie, słychać daleki zgiełk walczących.)

Weda.

Umierających jęk, —
walą się mury.

Joran.

(Do Idy.) Gdy skona już praojców miasto,
w złocistą wstąpimy łódź
i odpłyniemy na nieznane wyspy
południa mórz.
Nowa nas ziemia powita
na nową miłość.

Emin.

Zawarto przystań łańcuchami,
ni jedna nie przedrze się łódź.

Joran.

Złotem przekupię straże;
ojczyzna jest jeno miejscem.

Ida.

I najbardziej kochający
jest najbardziej miłującemu
tylko Miejscem.

Joran.

Więc Miejsce tworzy człowieka.

Ida.

Jest jeno śladem stóp,
które wicher pustyni rozwiewa; —
oto wszystko z Drogi Człowieka.

Joran.

Z Drogi?

Ida.

Z nikąd do nikąd.
Znużyła mię już Droga i Bezdroże.

Emin.

Mury się walą,
walczącym ręce opadają w znoju,

najezdna horda zdobywa już miasto,
a wodze w waśni.

Joran.

A Cezar?

Emin.

W pałacu przedśmiertna biesiada,
wino, muzyka, kobiet tańce.
Cezar wsparł głowę w koronach
o piersi Wielkiego Błazna
i blady słucha z daleka
ginących jęku.

Elena.

Straszne są jego oczy.

Ida.

Gdyby Nic mogło mieć oczy
i darmo chciało zobaczyć się niemi,
toby patrzyło jego źrenicami.

Joran.

Kto wiedzie hordy najezdców?

Emin.

Ar —
Jak bóg zatraty,
wstał z krain nieznanych wschodu
i runął na ziemi stolicę.

Ida.

Być wleczoną u kopyt jego konia...

Emin.

O kochance jego śpiewają pieśniarze
wschodu pieśni, które są jak dymy kadzideł
indyjskich. Jej włosy są jak płomienie,
a skóra żarzy się szarością rozpalonego do bieli
[żelaza.

Joran.

Cezar ją widział.

Emin.

Rydwan jej miażdżył ludy.
Wsparłszy głowę o kolana bogini,
patrzyła na krwawą drogę oczyma mroku.

Joran.

Cezar wysłał straże do świątyni,
lecz nocą uszła.

Weda.

Wróciwszy, kazał udusić matkę
i wysłał Augustę obracać żarna w podmiejskiej
[gospodzie.

Gurtan.

Jutro igrzyska.

Weda.

Tak cicho umierają ci wyznawcy Miłości,
jak gdyby Milczenie strzegło
wrót ich raju.

Ida.

(Podnosząc do ust pąk róż.) Zapiękne.

Joran.

Zapiękne?

Ida.

Tak piękne, że aż przestają istnieć.
Ten zgon kwiatów rozpościera skrzydła,
które się w piersiach już zmieścić nie zdolą i dławią.

Joran.

(Przepuszczając kwiaty przez palce.) Sztuka dla sztuki.

Ida.

Jest w nich coś z upiorów.

Joran.

Zbyt piękne odsłania pustkę.

Ida.

Co jest wszystkiem, jest niczem.

Joran.

(Uśmiech.) I słowem „tutaj“ szepce słowo „nigdzie“.

Ida.

Mój zły cień.

Joran.

Strzeż się.

Ida.

Nuda, — być własnym cieniem.

Joran.

Chodźmy nad morze,
by patrzeć na fale
i rzucać muszle.
(Odchodzą nad brzeg morski.)

Ida.

Usta morza całują me ciżmy.
Nawet morze nie starczy już dla mnie pieszczoty.

Joran.

Ani, Ani!

Ida.

Nie wołaj mię dawnem dziewczynki imieniem.

Joran.

Przychodzisz do mnie dziewczęca. — Jak pachną twe piersi. Przychodzisz do mnie miłosna.

Ida.

Spójrz mi w oczy, najdroższy. — Tak mi pusto,

Joran.

Jak dwa morza, na których dnie płonie parny ogień, są twe oczy.

Ida.

Nie patrz w me oczy.

Joran.

Chylisz się ku mnie słaniająca. Jak żałosne, poranione skrzydła jaskółek są twe brwi.

Ida.

Zimno mi.

Joran.

Bose twe nogi pątniczki zziębnięte są jak lód.
Zcieka z nich krew na umarłe gwiazdy, jak roz-
[topiony ołów.
I nie odgadnie na świecie nikt, skąd przychodzą
i dokąd odchodzą twe zbroczone stopy.

Ida.

Nie zgadnie nikt.

Joran.

Bo ciebie niema, bo ciebie niema.

Ida.

Daj ręce. Z wieczystego pustkowia wyciągają się me ręce ku twym dłoniom. Przez morza i pustynie, przez roje zgasłych gwiazd, przez wieki i przez światy dziewczęcy leci płacz mych rąk do kolan Nieznajomego. Są me ręce, jak poranione skrzydła ptaków, co się porodziły nad przepaścią, by nie zaznać chwili spoczynku. Ci-

chy ich jęk broczy czarną głuszę; czy słyszysz, jak się trzepoce między wirami lecących gwiazd, czy słyszysz.

Joran.

Słyszę, siostrzyczko.

Ida.

Przytul, weź, utul, weź, och weź moje ręce sieroce, moje ręce bezpańskie; ręce, które na całym świecie nie mogą znaleść spoczynku, ni wytchnienia. Och, kto utuli moje ręce, kto pokocha moje ręce, kto uczyni ze swego serca dom dla moich rąk, gdzie jest dla moich rąk dom?

Joran.

Drżą smukłe, białe twe dłonie; tulą się w straszliwem przerażeniu w mych dłoniach, obłąkane męką, gibkie, nikłe palce.

Ida.

One nie należą do nikogo, są same, same, same.

Joran.

A kiedy chcę przytulić usta, a kiedy chcę pochwycić dłonie, staję się jak opuszczony namiot przechodniów, w którym się jeno Noc pustynni.

Ida.

Pusto, obco.

Joran.

Zajrzeliśmy sobie zbyt głęboko w oczy, gdzie trwa Beztwarze, a jednak posiąść się pragnie.

Doryt.

Pozdrowienie.

Weda.

Na twoim pasie krew
i krew na czole.

Doryt.

Powracam z murów,
drasnęła mię strzała;
od krwi się ręce ku marmurom rwą.

Weda.

Pozostań jeszcze.
Powiew mórz tu leci;
siądź obok mnie i mów.

Doryt.

W szale boju, od niego daleko,
serca się zrodził wid
i rzeźby woła.

Weda.

Co rzeźbisz?

Doryt.

Posąg-zjawę.

Weda.

Jaką dasz twarz?

Doryt.

By ukazała siebie już nie w kształcie.

Joran.

Ty, najsłynniejszy niegdyć cyzelator;
kielichy twoje, ósmy świata cud.

Doryt.

O, kruże moje rzeźbione,
kiedym był cały w zjawieniu,
beztrostnie, przedziwne kowane.
Twarz Boża teraz mię woła,
z przepaści dźwiga się krzyk
i ukazania wzywa.

Joran.

A tymczasem ginie miasto, co rządziło narody.

Doryt.

(Dumnie.) W ginącem na murach stoję.
Za wolność Grobu mego walczę,
żywot mi Grobu budowaniem,
życie już duszy nie nastarczy;
gdy Serce moje wiecznie łaknie,
kształtów tych bronię, któremi głodne
i za nie tu polegnę.

Joran.

To miasto śmiechem ci zawdy płaciło.

Doryt.

Co jest niekształtne, a co przeciwkształtne,
mało to komu wiedzieć.

Joran.

Czego pragniesz?

Doryt.

Gdybym pokazał już TO, czego niema,
nie Przemilczeniem,
Gdybym dał o TEM znać już majakiem
tych rzeczy, które istnieją.
Och, zjawiać wprost już przez się,
jak stwarza Bóg, — z Niczego.
Mozołu mego męko,
wieczysty trudzie duszy!
Któż mię zrozumie.

Ida.

Majaczy mi się jakieś Przedwidzenie.

(Ar i Eza w przebraniu podeszli przed chwilą i słuchają słów Doryta.)

Doryt.

Zatracić siebie, CIEBIE nie rodząc,
nie mogę, Łaską Twą, czy Przekleństwem,
czołoś opasał moje szaleństwem
i drzwi ucieczki zamknął, odchodząc.
Na granicy RZECZYWISTOŚCI i Nierzeczywistości
bez skargi trwam.

Ar.

(Do Ezy, patrząc w pożarne dymy.)
Już i to ostatnie miasto płonie;
dalej jeno morze.

Eza.

Cichy uśmiech na twoich ustach.

Ar.

Dusza moja śni krwawa
w pożarnej kurzawie miast,
powalonych mą dłonią.
Łonią
się zciszonemu sercu rozkwitnięte sady,
po których oczy dziecka nieskalane idą
i na których jabłoniach białych
miesiąc śni blady.

Eza.

Groza w twych oczach.

Ar.

Przeminionem potępił i zniweczył.
Odchodzisz?

Eza.

Ujrzałam w mieście bladego człowieka,
którego wzrok mię woła.
Pójdę tam jeszcze słuchać jak mówi
i patrzy na lecące obłoki.
(Odchodzi.)

Ar.

(Przybliżając się do Doryta.)
Rzuć troskę daremną o daremne.
Ani mnie, ani ciebie niema.

Doryt.

Kto jesteś?

Ar.

Obserwator przesuwających się przez niego przechodniów.

Doryt.

Jak się zowiesz?

Ar.

Jam jest TEN, KTÓREGO NIEMA.

Doryt.

Gdyby nie pamięć SIEBIE.

Weda.

Nienawidzę twych oczu, kiedy są takie dalekie.
Spójrz na mnie, — czy mnie nie widzisz?
Chwyta mię lęk pustki, — jak gdyby samo
życie umarło, a ty nad trupem jego
poglądał w Niewidzialne.

Doryt.

(Pokazując na Ara.) To wszystko leży po drugiej stronie jego.

Weda.

Jak zmora złej nocy są twe słowa.

Doryt.

Jeżeli się jest poza życiem, jeżeli się niema Twarzy dla Siebie, jeżeli nie można wykonać Gestu, (ostatecznie) jeżeli raz na zawsze nic stać się nie może?

Weda.

(Wzdrygnęła się.)
(Nagle.) Czyż nie jesteś szalbierzem własnej duszy? Drzwi wywalone, to także sposób na złodziei.

Doryt.

(Chyli głowę trwożnie, modlitwą niemych warg.)
Przyjdź w noce ciemne i złup skarby moje,
bom jest TWÓJ nędzarz jeno;
a gdybym chytrze kupił sen żebraczy
na drodze mojej tułaczej,
to w stokroć większe obdaruj mię dary,
byś mię uczynił żebrakiem bez miary,
jako bez miary pożądam.
(Na ustach ukazuje się Przedzjawa, Uśmiech Dziecka Nienarodzonego, Poczęcie po tamtej stronie Nic.)

Weda.

Forma jest wszystkiem.

Doryt.

Właśnie dlatego jest niczem.

Weda.

(Niechętnie.) I to jest formą.

Doryt.

Ostatnią, — pod tą maską niema już maski.

Weda.

(Uśmiech.)

Doryt.

Mylisz się, nie mówiłem, że jedyna [w tej chwili
(Nagle.) o TAMTEM zaprzeczyłem.]
ja milczę.

Weda.

Więc kiedyś mówił o Przedzjawie?

Doryt.

Z konieczności zaprzeczyłem. Mówiłem poto, by można słyszeć Milczenie.

Weda.

Nie jesteś więc linoskokiem.

Doryt.

Cóżby wart był mój taniec na linie, gdybym nim był.

Weda.

Czy możesz powiedzieć jaśniej?

Doryt.

(Pokazując na Ara.) JA i TY jesteśmy po tamtej stronie jego.

Weda.

Kto to?

Doryt.

Nic.

Weda.

Nie rozumiem.

(Coraz większy niepokój, twarz bezradnego dziecka.)

Doryt.

Przesunął się koło nas Szatan. —
(Do Wedy z uśmiechem.) TEN, KTÓREGO NIEMA.
Wieją jego skrzydła przez gwiazdy,
wieją jego skrzydła przez słońca,
cień ich sprawy człowiecze.
Na Linie się kołyszę,
krzyk rzucam w Ciszę,
by porodził Milczenie,
a Otchłań wokół dysze.
(Do Wedy ze smutkiem.) Jeszcze mieszkają oczy,
gdy już odeszły stopy. (Wskazując na Ara.)
On nie może wykonać Gestu.
(Opiera się ramieniem o ramię Wedy.)

Weda.

I o sobieś to mówił.

Doryt.

TO jest po tamtej stronie Nic, ale on jest Nic. On jest Jednością, jej nazwa obserwator (to jest właściwie Szatan, a raczej prędzej jego łup.)

Ar.

(Na ustach uśmiech.)

(Czyni się głucha, martwa cisza.)

Doryt.

Godzino moja.

Pokusa.

(Niewidzialna dla innych, zjawia się Arowi.)

Mnieżeś to wołał Odważny i Igrający?

Doryt.

Przypominam daleki sen;
w czarnym lesie blademu dziecku się jawiłaś.

Pokusa.

Jestem jak twe Przeznaczenie.

Doryt.

Szeleszczą twoje szaty, jak oceanów fale;
lśnią się tajemnie twe źrenice.

Pokusa.

Nudzisz się?
(Nagle.) Co się tu stało?
(Pokazując na Ara.) To On? twa lina taneczna.

Doryt.

Nic moje, na którem tańczę
sny swoje opętańcze.

Pokusa.

Spojrzyj, — gdzie jesteś?

Doryt.

Nie widzę wokół nikogo.
Słońca lecą i gasną,
nad przepaścią, na linie
stopy me zakrwawione
kołyszą się zbłąkane.

Pokusa.

Czy słyszysz zgrzyt umierających światów,
czy słyszysz huk rodzących się światów?

Doryt.

Słyszę z Tamtej Strony Liny, Milczenie.
O usta nieme, o SŁOWO, o Objawienie,
ognista pieczęć na piersi skrwawionej, Milczenie.

Pokusa.

Pochyl się jeszcze bardziej,
przepaści bliżej zwiśnij,
góry na barkach podźwignij;
drżą ich szczyty na twych ramionach.
Nad przepaścią stopy pląsają,
rozwarte w krzyku, nieme usta
Tęsknotą łkają,
pioruny potęg, pieśni grają,
grom ich rozkrwawia Ciszę.
Pochyl się, otchłań dysze.

Doryt.

Gnę bronzy, granit łamię
pod moje znamię;
niejawiąc — Jawię...
Mozołu męka czoło broczy,
o, rzeźby mojej trudzie krwawy,
o, duszy mej Nienasycenie,
nieukojone Ukojenie;
zwracam je twarzą w Tamtę Stronę,
jak gdyby Stamtąd były,
ale to jeno skok taneczny,
ale to jeno taniec...

Pokusa.

Rzeźba twa, życia twego waga,
pochyl się bardziej, bardziej.

Doryt.

Około twych warg i oczu zielono-matowe elipsy
uśmiechu kuszą i nęcą.

Pokusa.

Włóż ornaty, kapłanie,
ornat z platyny rozpalonej,
gwoździami nabijany.

Doryt.

Relikwiarz na piersi kładę,
w rękach księgi objawione,
na siedm pieczęci zamknione;
słup ognia w nocy stawiony
odpuszczam i błogosławię,
słup ognia, co ciemność jawi,
na ołtarzu się spalam krwawy.

Pokusa.

Leci wicher, strąca z głowy twej korony,
rwie w strzępy szaty ofiarne,
zagasił w rękach pochodnię.
Dzieciątko ty, rąk badyle
wyciągasz przed siebie drżące,
na wichrze głowa się kołysze,
w noc czarną sciekają łzy krwawe.

Doryt.

Dziewczynka w podartych łachmanach,
sine ręce na głowę mi kładziesz,
zimną wargą całujesz me czoło.
Kto jesteś i skąd przychodzisz?

Pokusa.

Przy starej mieszkałam studni.

Doryt.

Przy starej studni?

Pokusa.

Kochałam niegdyś tę studnię.

Doryt.

Za co ją kochałaś?

Pokusa.

W starej szczelinie gnieździł się wąż,
i wodę zatruwał jadem.
Gdym przechodziła zdaleka,
wstręt mnie zwijał w ohydy spazmie,
dygotało serce przerażeniem,
jakby rozpęknąć miało,
a razem ze wstrętem
nieprzemożona porywała żądza
spojrzenia w oczy gadu;
w żelazne szpony straszna moc

chwytała odrętwiałe stopy
i wlokła coraz bliżej, bliżej...,
ażem się wreszcie schyliła nad studnią
— i spojrzała. —
(Głosem, który po jednej stronie Liny niemieje, jak wszelkie słowo, a po drugiej dudni głuchy i wydrążony.)
Wtedy mogłam odejść.

Doryt.

(Cicho.) Czyli się wtedy twój uśmiech narodził,
zielone jego elipsy
w źrenicach twoich lśnią.

Pokusa.

Czy sądzisz, że to ja się śmieję?

Doryt.

Nie wiem, nic nie wiem o tobie.

Pokusa.

Czemu tak drżysz?

Doryt.

Zimno.

Pokusa.

Spaliłeś stare kościoły,
gdzie twoje stróże-anioły,
skrzydłami zakrywszy oczy,
modliły się w ciszy ołtarzy.

Doryt.

Nie pomnę. Dygocę od chłodu.

Pokusa.

Jawi się uśmiech na twych ustach;
nie uczyłam się tego uśmiechu.

Doryt.

Uśmiech podobny do echa
Śmiechu Dziecka z Tamtej Strony Liny.

Pokusa.

Chyba szlochu dziecka.

Doryt.

Nie to z tej strony Liny,
lecz z Tamtej Strony mię dobiegł
jak gdyby Dziecka Śmiech.

Pokusa.

Nie słuchaj, nie słuchaj.
Byłam ci zawsze wierną,
jam jedna nie zawiodła;
wypędzasz mię dziś precz,
strzeż się, zostaniesz sam,
nie wrócę.

Doryt.

Znam cię.

(Równocześnie dobiega z Tamtej Strony Liny jakby echo Śmiechu Dziecka. Lina, tancerz i tancerka nikną. Zmrok, drobne światło, przez wydrążoną jego kulę przypływają bez szelestu olbrzymie wody i zataczają wiekuiste kolisko, nad którem cicho drżą skrzydła Śmiechu Dziecka, w ich objęciu Doryt i Weda, dwoje dzieci, przytulonych do siebie i czworo ócz, spoczywających na ruchliwej bezdeni; na wargach tensam Uśmiech.)

Joran.

(Do Doryta.) Chodźmy do twego domu.

Doryt.

Nie mam domu,
jeno przechodniów namiot.

Joran.

(Uśmiech.) Lecz w nim będziesz?

Doryt.

Nie, jeno moi goście.

Joran.

(Uśmiech.) Jacy?

Doryt.

Tego nikt nie wie.
Idę długiemi szeregami,
a żaden nie powraca;
linoskocy, tanecznicy nieznani.

Joran.

Idą na zgubę?

Doryt.

Nie, to się już stało,
a teraz maski ich tańczą na Linie.

Weda.

Ucieczka.

Doryt.

Na lodowcach wznosi się ma wieża,
moje Więzienie i Brama;
na zawartych ryglach słowo Wróć płomienieje
łuną Jutrzni w wiekuistej Nocy,
słońce mojej tęsknoty,
co przed się patrzy niezmiennie
i czuwa bez wytchnienia,
kiedy zabrakło nawet niebezpieczeństw,
gdy w cieniu skrzydeł OBSERWATORA
szloch dziecka łka
i budzi echo Śmiechu Dziecka
zwiastujące tego, co JEST.

Objawił mi Cię Dziecka Śmiech
i już nie jestem przechodniów szeregiem,
co kędyś w oddal odchodzą na wieki,
ale się stałem tym, który Cię kocha.
A może Miłość i kształt nie temsamem
i może nad tem to Dziecka radosny

Śmiech z Tamtej Strony dolata.
Byłżeby Szatan TYM, KTÓRY NIE KOCHA.
(Biorąc ręce Wedy.)
Być obok i czuć się samotnym na wieki wieków.

Weda.

Och być obok i czuć się samotną na wieki [wieków.

(Odzywa się głos fletni i śpiew, otwierają się bramy pałacu cesarskiego, wychodzi oddział gwardyi, za nim orszak dziewic poświęconych czystości i modłom za wielkość miasta, na ich czele Wielka Przełożona, Toresa, dalej dwór, aktorki, matrony, kurtyzany, wodzowie, kapłani, wreszcie złoty, wykładany perłową macicą wóz, ciągniony przez tygrysy, na nim Cezar w złotogłowiu i tyarze, obok niego, po prawej ręce starszy brat cesarski, Pustelnik, w szarym łachmanie, twarz zapadła i zczerniała, w niej szeroko otwarte, fosforycznie świecące oczy. Orszak podchodzi do świątyni, drzwi jej otwierają się. Tłumy chylą się w pokłonie hołdu przed Cezarem, tylko, stojący na progu świątyni, Wielki Kaznodzieja Państwa, Dotan, nie zniżył głowy; ponad zgiętemi barkami otoczenia spokojne jego oczy spotykają się z migocącemi wściekłością oczyma Cezara.)

Dotan.

(Zwraca się twarzą ku stojącej w głębi świątyni Arce Przymierza Boga z Geronią, przyklęka.)

(Cicho.) Wydźwignę Serce na mojej Pustyni,
niech świeci jako lampa wiecznej Nocy,
śród trumien, w których butwieją prorocy,
niechaj Bóg sąd swój ponademną czyni.
Czyli to brzask czarne niebiosa rozpala,
to z piersi mych spłynęła krew,
z rozdartych żył mych wytrysła polarna zorza,
na niebiosach się żarzy —
Ukląkłem.

Cezar.

Patrzysz bracie, na twą dawną stolicę,
kędyś siedział orzeł posępny,
mnogie ludy dzierżący we szponach,
skądeś ziemie zwojowywał najdalsze,
że się gięły przed tobą mocarzem,
zwany Krwawym i Wielkim cesarzem.
Odszedłeś, rzuciłeś trony,
mnie cisnąłeś narodów berło,
na pustynię odchodząc samotny.
Cóż ci rzekła pustynia, o Wielki!

Pustelnik.

Powiem ci, com ujrzał w potędze koron moich.
Rozszerzyłem granice po krańce najdalsze,
dałem narodom ziemi prawa nowe
i zepchnąłem stopy ich na drogi nowe, —
a oto tam, gdzie się kończyła wielkość moja,
jeszczem się nie poczynał.

Cezar.

Wieki zwać cię będą Wielkim.

Pustelnik.

Jam jest większy od siebie,
noszę trupa w mem łonie,
a trup większy ode mnie,
od *żywego*.
Kto pojmie, niech pojmuje
i niech się słowem struje,
choć się słowem nie zrodzi.
Kto rodzi, ten zabija
i w życiu trwa i w geście,
choć mija, nie przemija.
Wiedzącym mówię słowo;
cóż jest o Sobie wiedzieć,
a być za własną bramą,
a być za własną ścianą,
za zaworą-rozwarciem gestu.
Umarłych w grobie grzebią,
upiór niezrodzonego
nakarmia się żywego
pustką, bezbrzeżną męką.
Zostałem Sam, bez SIEBIE.
Czyli zrozumieć zdołasz?

Cezar.

O bracie, widmo straszliwe,
kędy idziesz w to wieczne pustkowie,
nazwij, rzeknij chociaż słowo.

Pustelnik.

Noc, —
Moc się we mnie szarpie w głębi,
a Twarz daremnie woła,
ograniczone jej nie zmieści,
a przecież Zjawą stać się sili.
Przyjdź w noce głuche i ciemne
i jeśli trzeba rozszarp mię,
a ukaż swoje Bezgłębie.
Jeśli Wnętrzności moich płodzie
ze zgubą mą się rodzisz,
niechaj w Nicości padnę zmroki,
skąd TY Najświętszy wschodzisz.
Zatracę siebie, bym CIEBIE zyskał,
TY, któryś jest Jedyny,
niechaj upadnę między stracone,
Bezdenny wnijdź z mej głębiny. —
Któren ujawion jestem na ziemi,
niczem jestem dla siebie,
ten, co nad wszelką zjawę jestem
i czem o losie mój, nie jestem,
tego jedynie godny jestem.
A skoro TOBĄ być nie mogę,
to będę trwał tak niczem,
na tęsknot moich wsparty łuku,
ze skłamanem obliczem.
Bez zwiastowania Zwiastun
i bez ornatu kapłan
trwam.

Pierwszy Adam stworzył słowo,
ja wtóry milczę.
Słowo nie jest Rzeczywistością,
kto wypowie SŁOWO, które jest Rzeczywisto-
[ścią!

Cezar.

Twoja twarz jest maską, ale nie to straszne; każda twarz jest maską i odsłania To, co jest, ale u ciebie to, co jest pod maską, tego niema. O... o...!
Zdejm kłamstwo maski, pokaż samą maskę. przecież T a m t o jest maską, przecież tamto jest maską, przecież tamto można ujrzeć.

Pustelnik.

Tamto umarło, niczem się narodziło. Narodzić znaczy umrzeć, ale Tamto umarło przedtem.

Cezar.

Oszaleję.

Joran.

(Do Idy.) Och, czoło twoje.

Ida.

Czyli upiory rzucasz gwiazd
na czoła mego ciszy.
Pochyl się, spojrzyj
kędy ocean dyszy.
Cóż wie ten prorok o niejednej gwiaździe?

Pustelnik.

Gwiazdy i słońca mi nic,
jak jeno moja maska,
zakrywa Beztwarz mą i kłamie
i tem pustkowiem jeno mówi,
że jest maską Bezdeni.

(Nadbiega Goniec ranny i zakrwawiony.)

Goniec.

Nieszczęście, Cezary!
królewska wieża w rękach wroga,
gwardye pokotem we krwi leżą,
w szeregach lęk i rozpacz.
(W uniesieniu zwraca się do Pustelnika.)
Cesarzu, cesarzu, cesarzu!
cóżeś cofnął twe potęgi i moce,
cóżeś zmierzchnął w pustyni pomroce?!
O przyjdź zwycięski, wróć,
do walki powiedź znowu.

Przyboczne gwardye.

(Cisną się groźnie do wozu, potrząsając mieczami.)
Cezarze wróć.

Cezar.

(Blednie, drży, chowa się w połę łachmanu brata.)

Pustelnik.

Niema powrotu stamtąd, gdzie odszedłem,
już nie pamiętam mocy zwyciężania.

Goniec.

Spojrz na to ginące miasto.
Czy twoje oczy oślepły?
Nie widzą ojczyzny zgonu?
Rzuć słowo dawnej potęgi.
Niech zaważy na dziejów szali.

Pustelnik.

Was to ja czekam, o Oczy Widzące,
o nieczłowiecze moje źrenice;
jakże ja strasznie tęsknię do was,
jakże ja tęsknię.
Przyjdź Widzenie!
O czuję w tobie ciało,
iż mieścisz w sobie Ciało inne,
które cielesnem jest, a jest zarazem
czemś innem, czego obecnie me ciało
pojąć nie zdoła.
O przenajświętszy cudzie mego ciała,
ukryty w mojem ciele
i czekający narodzin godziny,
o ma pustynio, gdziem życie przepędził,
z majaku życia odarta,
o, wieczne moje czekanie.
Daremnie wytężam wzrok,
pustka dokoła i widma
i prawdy dwie: —
mój wzrok widzący ułudę,
skądże ułudą ją zwie,

Istniałaby gdzie Zjawa.
O Oczy, straszliwe Oczy,
jeśliście nie ułudą,
ułudzie przeciwieństwem,
czemuż ZJAWY nie widziecie Oczy;
i druga prawda Czczość, —
istniałażby gdzie JAWA,
coby zapełnić ją mogła?
Jeśli oczy mi dane,
to są i Oczy poza mną,
Oczy moje. —
Oderwane warg moich pieczęcie,
słowa brzęczą, słowa niewiadome,
wargi je biorą w obręcze.
Wieczysty Sen piorunem usta wiąże.
O Panie, dałeś mym ustom wrzeciądze.

Dotan.

Kto nie zna Czynu Tajemnicy,
ten nie zna Słowa Tajemnicy,
Słowo jest Czynu świętym śladem,
a Czyn jest świętym śladem BOGA.

Pustelnik.

Wyrzekłeś-że się już SIEBIE,
bluźniący samemu SOBIE.

Dotan.

Uzurpatorze BOGA.

O miasto moje, któż dziś kocha
zwycięstwo, miecz i Życie w tobie
i żyjąc życiem, obejmuje Życie
ugięciem kolan przed Tobą
o Święty, Święty, Święty,
Święty a Niepojęty
Pan Bóg Zastępów.

Pustelnik.

Wicher porywa gwiazdy moje,
pył ze śmietniska miecie.
Uczciwiem wszelkie podjął znoje,
anim się cofnął w niepokoje,
ni chciał być jak szalbierze.
I dziś upadam w proch przed TOBĄ,
TY, któryś jest poza mną
i mnie samego tu zostawiasz
z tęsknotą mą niekłamną.
I wolej mi tak być Pustkowiem,
które do CIEBIE tęskni,
niźli bez CIEBIE harfę zyskać
i siedm strun na gęśli.

Dotan.

Poza Człowiekiem włada BÓG
i poza jego tęsknotami,
w Człowieka głębię lecącemi,
jest święty Jego próg.

Kiedym w Wielkości mojej głodach
przed Tobą klęknął, PANIE,
Tyś mię małością mą nasycił,
że odtąd, Siebie wiecznie głodny,
stałem się Czynu mego godny
przed Twą zakrytą Twarzą.
Aktor na scenie pod gromem Doli,
niewolnik swojej Tajemnicy
i Wolny, któren Scenę stworzył,
Jedyny, jak TY, od CIĘ Inny,
wieczyste PIĘKNO w PRAWDZIE tworzę,
jako Ty sam, o BOŻE.

Doryt.

Tworzenie i Nuda, dwa to cienie
tej samej straszliwej sprawy.
Miecz biorę, iżbym walczył
za me ginące miasto,
pochwytam glinę w dłonie,
nie iżbym nastarczył,
jeno bym ślad zostawił,
czem BÓG mię mój obarczył.
TYŚ jest, TYŚ jest,
co duszę moją poisz
wieczystym głodem SIEBIE,
którenem jest, któren się we mnie nie narodził,
TOBIE go przekazuję,
jak cień przemijający,

sam SOBIE Przemilczeniem,
Nieosiągnięty.
Przede mną kędyś ZJAWA,
poza mną Ślad jej, kłam Sztuki,
ale Nieobjawione
zostało już zrodzone,
jest tylko Tajemnicą
i zakrytem Obliczem.
O, co jest pod tobą maską, co jest pod tobą!
I tak przejdę z rzeczywistością,
co jest Ułudą,
a co NAJŚWIĘTSZE, trwa.

Dotan.

Wynieście Arkę Przymierza
na mury, pośród walczących,
niechaj się losy wypełnią
w ofierze i modlitw hymnie,
na wysokości Wyroków
niech spełnią się nieomylnie.

(Kapłani wynoszą Arkę Przymierza.)

Dotan.

(Do Doresy.)
Arcykapłanko, odmów modlitwy
i ogłoś wróżbę ludowi,
nad Arką błogosław miastu.

Doresa.

(Odsłania twarz, patrzy na Pustelnika.)
Odpowiedz, czyli poznałeś?

Pustelnik.

Poznałem ciebie, księżniczko.

Doresa.

Pamiętasz rozstania słowa?

Pustelnik.

„Zdala od kobiety rodzi mężczyzna duszę.“

Doresa.

Przypomnij ostatnie słowa.

Pustelnik.

Czyli powrócić miałem...

Doresa.

Kiedy już młodość przeminie.
Odeszłam w klasztorne mury,
przez ciebie odtrącona;
oto już wygasł łona
miłosny, żarny płomień,
powiędły piersi, zgasły oczy,
zostało Serce, Miłość Wieczna;
powracam znów do ciebie.

Pustelnik.

Nie widzę cię.

Dotan.

Arcykapłanko, mów błogosławieństwo,
pośród walczących niech idzie procesya.

Doresa.

(Zrywa z głowy klasztorny welon, wyciąga ręce przed siebie.) Przeklinam.

(W tłumie rozruch, okrzyki: „biada“, „ukamienować“; popłoch coraz większy, motłoch napiera na gwardye.)

Cezar.

Zakopać żywcem świętokradczynię.
Wnieść Arkę Przymierza do świątyni.
Okrzyk zdobywców coraz bliżej huczy;
na mury cały lud!
Otrąbić rozkazy moje,
niech naród w bój się podźwignie,
zwycięstwo przyobiecuję.
(Z niepokojem.) Czy mój poseł od Ara powrócił?

Dowódca gwardyi.

Nie jeszcze, Panie.

Wielki Sędzia.

Jakiś człowiek między ludem
sieje wieści o Królestwie Bożem,

co się na gruzach narodzi,
o nowym świecie, co wstanie;
lud słucha i rzuca bronie;
szpiedzy dotąd wyśledzić nie mogli.

Cezar.

Już me sądy karały tych ludzi.

Karet.

(Przybliża się do Cezara, nachyla, szeptem.)
Oto wydam ci go Najjaśniejszy, tej godziny,
pocałunkiem go wydam twym strażom,
tego, co głosi Miłość Ojca w Niebiesiech,
dyadema twe święte na nice
obracając, twą słoneczną twarz w martwe księżyce.

Cezar.

Idź do mego skarbnika,
niech zapłaci, ile zażądasz.

Karet.

Miedziany zapłać grosz,
abym już sprzedał.
(Podchodzi do bladego, cichego człowieka, całuje go.)
Bądź pozdrowiony, mistrzu.
(Do straży.) Tenci jest Hurest, którego szukacie.

(Straże wiążą Huresta.)

Hurest.

Miłością Miłość zdradziłeś;
Duszo, czyli zdołasz sobie przebaczyć,
sędzio, jakież straszne twoje wyroki.

Karet.

Za grosz, za miedziany grosz,
Królestwo Boże za grosz.
O Otchłani nieprzemożona,
o duszo moja bez dna,
większa niż Serce moje,
co u stóp twoich łka.
(Patrzy w oczy Huresta. — Hurest spuszcza oczy.)

Karet.

Spuściłeś oczy.

Hurest.

(Podchodzi do Kareta, całuje go.)
Kogóż wybawić to miałem —
Miłość jest moja bez dna.

Karet.

O duszy wyroki straszliwe,
o sądzie niecofniony.

Hurest.

Miłość jest moja bez dna.

Cezar.

Kto jesteś?

Hurest.

SPEŁNIENIE wasze.

Cezar.

Kto jesteś?

Hurest.

SYN CZŁOWIECZY.

Cezar.

Kto jesteś?

Hurest.

JEDYNY.

Cezar.

Rzeknij ktoś jest?

Hurest.

TRYUMFATOR.

Cezar.

Sąd przed tobą.

Hurest.

O Ojcze, idę ku Tobie
jak białe, ciche jagnię, —
ZMARTWYCHWSTANĘ, jak piorun STWO-
[RZENIA.

Chór Wyznawców.

I widzieliśmy Chwałę Jego,
Chwałę, jako Jednorodzonego
u Ojca, pełnego Łaski i Chwały.

Cezar.

Klęknij przedemną.

Hurest.

Ujrzyj co jest korona i berło,
idź za duszą twą, tronów rzuć kłam.
Oto u bram wieczności twa dusza,
pojrzyj Prawdzie w rozwarte źrenice,
odsłoń Siebie za najdalsze granice —
Oto SŁOWO przed tobą ZJAWIONE.

Chór Wyznawców.

Oto SŁOWO CIAŁEM SIĘ STAŁO.

Cezar.

Na śmierć.

Hurest.

JAM JEST.
Przyszedłem Zgłodniałe nakarmić,
przyszedłem Spragnione napoić.
Rozpaczy przyzywał mię krzyk,
pustkowia waszego męka, —
przyszedłem, aby wybawić.
KREW moja i CIAŁO moje będzie
wam dane na ŻYWOT WIECZNY,
na CIAŁA NOWEGO PORODZENIE, —
oto się spełni tęsknota wasza ku SOBIE.
W CIAŁACH UWIELBIONYCH POWSTA-
[NIECIE I SPOJRZYCIE

TWARZĄ W TWARZ OJCA MEGO I OJCA
[WASZEGO
BOGA, SPEŁNI SIĘ TAJEMNICA WASZA.
PÓJDŹCIE I POSIĄDŹCIE NIEBO OD POCZĄTKU ŚWIATA WAM ZGOTOWANE W MIŁOŚCI WIECZNEJ.

Pustelnik.

Tu STWÓRZ,
tam Grób.

Hurest.

Ja ZMARTWYCHWSTANĘ,
po wiekach wrócę,
usłyszę twe wołanie,
SPEŁNIĘ wyczekiwanie,
Ja wieków PRAWDA jedyna.

Ida.

Weź mię ze sobą, PANIE,
bom już bardzo znużona.

Gurtan.

Przyjdź Królestwo TWOJE.

(Straże wiążą oboje.)

Eza.

Byłamże lotem krwawych skrzydeł
w pustkowiu wiecznem?

Morat.

(Przybliża się do Ezy, patrzy z uśmiechem w jej oczy.)

Eza.

(Zbladła.)

Morat.

(Z uśmiechem.)
A święte wody stawów dalej lśnią,
jako minionej nocy,
kiedyś w y b r a ł a.
Czyliś wybrała?

Eza.

(Zdławionym głosem.)
I tutaj twoja twarz mię ściga.

Morat.

Kędy ziemia sięga, jestem;
powracam wciąż.

Eza.

(Rzuca się do nóg Huresta.)
Wyrzecz ratunku SŁOWO;
czyli jest słowo ratunku na ziemi?

Hurest.

Królestwo moje nie z tego jest świata.

Eza.

Tyś jest OBLUBIENIEC WIECZNY.

Hurest.

Ziemia i Niebo przeminą,
ale SŁOWO moje nie przeminie.

Wyznawcy.

Przyjdź KRÓLESTWO TWOJE.

Cezar.

Wiązać!

Straże.

(Wiążą wyznawców.)

Tłum.

(Poruszony.) Pokój Prorokowi.

Wielki Błazen.

(Podchodzi do Huresta, pluje na jego czoło, śmieje się.)

Hurest.

(Milczy.)

Tłum.

(Poczyna się śmiać.)

Wielki Błazen.

Głębszym o całe przepaście jest Śmiech,
niżeli Cześć.
Zapełnij tę Otchłań, proroku.

Tłum.

(Naigrawając się.) Proroku, prorokuj!

Hurest.

(Milczy.)

Dotan.

(Chyli głowę przed Hurestem.)
Cześć ci CZŁOWIEKU.

Cezar.

Krzyż włóżcie na ramiona,
na brzeg morski powiedźcie.
Koronę moją znieważał,
włóżcie z cierni koronę na czoło;
tronowi mojemu urągał,
na krzyżu ciało przybijcie.

Straże.

(Wyprowadzają skazańców.)

Dotan.

Za cóż na śmierć wiedziecie CZŁOWIEKA?
W sobie zguby zabijcie upiora,
w sobie zrodźcie Życia tajemnicę;
za cóż na krzyż wiedziecie CZŁOWIEKA?
Nie zabijecie, nie zabijecie na krzyżu
wyroku duszy waszej,
co was potępia w świętym ogniu życia.
Błogosławione, błogosławione wszelakie życie,
pohańbione przez was życie
i błogosławiony największy jego dar,
Wolność.

Wznoszę mą duszę-kadzielnicę
w kapłańskich moich dłoniach.
Nad słońca płonące,
nad gwiazdy świecące
świętym płomieniem gorę,
Cześć, Chwała, Uwielbienie;
nad ludzkie plemię,
ponad SIEBIE
kadzielnym ogniem wionę,
nie prośbą, nie cierpieniem,
nie tęsknotą,
nawet nie Wypełnieniem, —
MODLITWĄ.
Cały płonę, cały się spalam świętym ogniem,
lecę, goreję pochwalnym dymem;
z nóg ścieka krew ołowiana,
z rozdartych nóg pątnika
krew ścieka, przepala gwiazdy,
ziemię przepala i słońca
i ścieka w Otchłań bez końca,
gdzie moje piekło.
A z wyciągniętych rąk kapłańskich
ma dusza-kadzielnica
dymem się wznosi uwielbionym —
MODLITWO!
Cały się spalam jednym hymnem,
płonę, goreję,
płynę płomień żywy
za bramę słońc, za bramę gwiazd,

nie pomnę, byłem czy nie byłem,
szczęśliwy, czyli nieszczęśliwy,
tęskniłem, czyli nie tęskniłem,
czy miałem kiedy dom i leże,
czy jeno więzień moich wieże.
O błogosławione, błogosławione Życie,
w którego świętych dłoniach
dusza ma szałem hymnu płonie
i płynie, MODLITWĄ płynie.
Błogosławione Życie, —
o TAJEMNICO CZŁOWIEKA
PRZED BOŻEM PEŁNIONA OBLICZEM.

III. Goniec.

Zamek zdobyty.

Cezar.

Układy! poseł nie wraca.

Dotan.

Broń mi podajcie.
Nie czas kłamać życie,
wolej je śmiercią potwierdzić.
Gdy Anioł Doli
wyroki swoje dzierży,
niechaj czyni, co czyni,
ja Czyn mój podejmę jak wolny.
(Do Cezara.) Na mury z mieczem idź,
do walki stań i zgiń,
niesławę duszy zmyj.

Cezar.

Moja władza i moje rozkazanie,
twoje jeno puste słowo.
Strzeż się słowem bluzgać zbyt zuchwale.

Dotan.

Rzuciłem zew;
czyli bez echa minie,
czyli narody zbudzi,
najwyższy wziąłem lot.
Przez żywot cały walczyłem,
zwycięstwa chwałę głoszę;
żem wołał słowem kaznodziei,
to, że do czynów mych nie wzrośli,
zabiliście zwycięskie czyny,
niech tedy pozostanie słowo,
by czynom poświadczyło,
gdy wieki przyjdą sądzić.

Cezar.

Pogardzam twojem słowem;
na głowie mojej święte dyadema,
a twoje czoło nagie;
Czyliś potężny i czyliś jest władny,
skąd wiesz?
W mem ręku berło świata leży.

Dotan.

Miłość po Wielkość sięga,
choć się małością jej znuży,

do Czynu się rodzi, w nim ginie,
by znów zmartwychwstawać do Czynu
niesyta w swej nigdy potędze.
A cóż są twoje korony
i cóż to jest twój czyn?
zawdy powyżej ciebie
miejsce dla duszy ci znaczy,
małości ty pełen win.
Koroną opiąłeś czoło,
lecz duszyś ponad nią nie dźwignął;
kędy traf władacze stwarza,
Dola Mocy niegodnych potępia,
Zgon nad nimi swe skrzydła rozpina,
wyrok własny zgonowi je daje.

Cezar.

Milcz!

Wielki Sędzia.

(Do Dotana.) Przejęto pismo cesarskie do najezdców, w którem Cezar obiecuje poddać miasto w zamian za życie i pozostawienie mu zebranych skarbów.
(Wręcza Dotanowi pismo Cezara.)

Dotan.

Oto pismo Cezara do wroga.
Cezar zdradził!

Gwardya.

(Wydobywa miecze, zwraca je przeciw Cezarowi.)

Cezar.

(Do Pustelnika.)
Bracie, o bracie, kochałeś mię kiedyś.
Wspomnij matkę naszą, wspomnij dzieciństwo.

Pustelnik.

(Kładzie rękę na głowie Cezara.)
Brat mój...

Dowódca gwardyi.

(Schyla głowę przed Pustelnikiem.)
Niech żyje nikczemny.

Dotan.

W myśl najwyższych praw państwa obejmuję dyktaturę. Spalić wszystkie okręty i łodzie, — tu zwyciężycie, lub zginiecie.

Cezar.

Do mnie i mych niewolników nie masz prawa.
Niechaj mi kończą stos,
któren kazałem wznieść w ginącej mej stolicy,
niech go posypią różami i tuberozami,
niechaj nań wniosą me skarby,
łupy zwycięskich wieków, wydarte ziemi narodom.
Wezmę złotą harfę do ręki,
na gibkich piersiach niewolnic
oprę stopy pana ludów i mórz
i zaśpiewam śród płomieni zórz

ostatnią pieśń.
O ziemio, jakiż artysta zginie!
(Odchodzi.)

Dotan.

W ornacie i w pawęży w boju godzinie
na straży ojczyzny stoję;
dźwignąłem Serce moje
aż się w sztandary rozwinie,
o Boże, o Dolo!
Na mury wszyscy!

(Rynek pustoszeje, brzęczy tylko głuchym szmerem walczących, zapada coraz gęstszy zmrok. — Łoskot walących się murów, krzyk uciekających. — Dotan skrwawiony, z mieczem w ręku staje na progu Świątyni. — Śród zmierzchu krwawią się łuny ginącego miasta, płonie w dziedzińcach pałacowych olbrzymi stos Cezara, wrzask wyrzynanych i wycie leci śród ognia.)

Dotan.

W słonecznym sadzie krwawy topór ścina kwi-
[tnące jabłonie.
O przecudowne, przenajświętsze życie bądź bło-
[gosławione.

Ar.

(Wpada z mieczem.) Poddaj się, a daruję cię życiem
i uczynię swym przyjacielem.

Dotan.

Na progu mej świątyni wydarzeń krąg się pełni.
Stworzyłem Scenę, ażeby z półludzi
dobyć całego, Człowieka;
pokazałem światu,
jako jest Człowiek, Bóg, Życie,
Tajemnica Człowiecza, Boże Przemilczenie.
Wolny, staję twarzą w twarz Wyroku,
a reszta Trafowi.
Dola rzuciła swe wypadki,
jam podjął Dolę i Niedolę,
na scenem rzucił Świętą Wiedzą,
radosną i błogosławioną.
Prawdziwy, ten, co Czyn ujawia,
Artysta, ten, co sztukę rodzi,
Wolny, ten, któren Życie stwarza,
padnę u mego tu ołtarza.

(Walczą. Dotan pada przebity mieczem.)

Ar.

(Biegnie na brzeg morski, gdzie ukrzyżowany Hurest i pobici jego wyznawcy, pochyla się nad leżącemi ciałami ściętych, podnosi za włosy obu dłońmi głowę Ezy — patrzy w źrenice.)

Maska.

(Wyciąga ręce przed siebie, na twarzy przerażenie. —

Ogląda się, patrzy długo na płonące miasto, w twarzy Zgroza.)

I to maska.

(W straszliwym lęku biegnie do krzyża, opiera ręce na niskich ramionach, z oczu zciekają dwie łzy, podnosi palcami powieki konającego, patrzy obłędnie w źrenice.)

Powiedz, niema niczego, jeno moje oszalałe Serce?

Powiedz, nie możnaż przestać istnieć przed Śmiercią, och powiedz, możnaż istnieć, nie będąc jeno Majakiem. Zdradził mię wróg mój, Bóg i zwyciężył mnie wróg mój, Bóg Sercem.

(Wali się martwy u stóp krzyża.)

Dotan.

(Zwleka się ranny ku Arce Przymierza, ponad jego głową dach świątyni zaczyna już płonąć.)

Duszym nastarczył,
Doli nadążył;
spełniona życia tajemnica.
Ja jestem Słońce, które porodziła Noc, które Mrokowi świeci.

(Wznosi ręce ku ginącemu miastu.)

Wznoszę siebie, Słońce gorejące,
Słońce wzeszłe z największej głębiny —
Błogosławię cię ziemio
i was kwitnące sady
i ciebie i ciebie Człowieku.

(Konając.) O Życie — Sceno — Sztuko, bądź
[błogosławione.

Chór.

O Miłości, o Potęgo,
krzyża ramiona,
na którym dusza kona.
O Czynie, duszy krzyżu.

O Miłości, co jawisz
w Wielkości Czynie
i umierasz w małości jego,
utracona.

O Potęgo, co jawisz
w Zwycięstwa Czynie
i przepadasz w małości jego,
niezjawiona.
O Grobie.

O Miłości, o Wielkości, o JAWO,
tylko kto CIĘ w Czynie traci
wie o TOBIE.
O Grobie.
O Przemilczenie.

Hurest.

Z Grobu TWARZĄ W TWARZ BOGA
ZMARTWYCHPOWSTANĘ,

Chór.

A SŁOWO CIAŁEM SIĘ STAŁO
I MIĘDZY NAMI MIESZKAŁO.

(Miasto wali się w ogniu.)

Mężczyzna i Kobieta.

(Podnoszą się z gruzów, idą złączeni uściskiem.)

KONIEC.